Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 21 czerwca 1936 r. Nr. 25

Wiersz z wakacyj

Umyślnie wybrałam na czas wakacyj
Ten wielki i cichy dom,
Nad którym żałośnie szumią akacje
I bluszcze liście swe pną.
W samotnym tym domu szczęścia jest tyle...
Żal tu nie mieszka, ni łzy,
Dzień każdy tak jasną przemija chwilą
I szczęściem tutaj są sny.
Czasami boję się, że przyjdzie coś zdala,
Coś złego, jak głucha noc
I domek marzeń mych pięścią zwali
I bólu zostawi moc.
Wieczorną godziną więc skrzętnie zawsze
Zamykam okna i drzwi,
By pod słoneczne moje poddasze
Gość nie wkradł się żaden zły.
By tego, co czyste, ogromnie własne,
Czego się strzeże, jak stróż,
Ktoś nie zabrudził, błotem nie chlasnął
I w ciszę nie wniósł znów burz...
— — — — — — — —
Oto mój prosty wiersz, wierszyk z wakacyj,
Pisany w słoneczny dzień,
Przy szumie najsłodszym wiejskich akacyj,
Wśród serca radosnych drgnień.

Marja Zemmlerówna.



MARJAN BRONISŁAWSKI

21)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

W tej chwili w przeciwległej ścianie rozległ się niedosłyszalny prawie szelest i w malutkiem otworze w ścianie niewidocznym dla osób znajdujących się w przedpokoju, ukazało się czyjeś oko.

— Proszę chwilkę zaczekać — odpowiedział Burskiemu woźny. — Pójdę zobaczyć, czy pan Smith przyjmuje. Panu chodzi o starszego czy o młodszego pana Smitha?

— Znałem tylko jednego — odpowiedział Burski. — Allarz Smith.

— Aha... dobrze. Niech pan zaczeka chwilkę.

Woźny znikł za oszklonemi drzwiami i po kilku sekundach wrócił.

— Proszę, niech pan wejdzie — rzekł otwierając drzwi. — Pan Smith czeka na pana.

Burski wszedł do obszernego pokoju, jasno oświeconego blaskiem kilku lamp elektrycznych, umieszczonych w matowych kloszach wysoko pod sufitem. Widno tu było zupełnie jak przy świetle słonecznem, choć do tych spokojnych, milczących biur nigdy nie dochodziły promienie słońca. Praca odbywała się tam zawsze przy sztucznem, ale nieustępującem naturalnem oświetleniu.

Dokoła sali biegła wysoka żelazna balustrada, za którą widniały długie, pokryte płytami szkła stoły, dwa czy trzy wielkie, płaskie biurka, przy których siedzieli ludzie jacyś poważni, zatopieni w rachunkach i cennikach. Na jednym ze stołów stała spora jubilerska waga, przykryta wielkim szklanym kloszem, służąca wyłącznie do ważenia kosztownych kamieni, nadzwyczaj dokładna i czuła.

W głębi drzwi, na których skromne czarne litery głosiły, że za niemi mieści się gabinet szefa firmy.

Gdy woźny wprowadził Burskiego, od jednego z biurek powstał urzędnik i zbliżył się do balustrady. Naciskając guziczek, otworzył rodzaj furtki w balustradzie i ruchem ręki zaprosił Burskiego do środka. Furtka zamknęła się za nimi bez szelestu. Urzędnik przeprowadził Burskiego przez całą salę, otworzył drzwi do gabinetu szefa i wpuścił go do wnętrza...

— Proszę bliżej — odezwał się siedzący za biurkiem starszy, siwy już pan. — Powiedziano mi, że ma pan do mnie interes... — dodał, przypatrując się bacznie Burskiemu przez wielkie okulary w rogowej oprawie.

— Nie wiem, czy pan sobie mnie przypomni — rzekł Burski, siadając na wskazanem mu krześle przed biurkiem szefa firmy. — Nazywam się Burski, i przed laty pracowałem jako szlifierz w pańskiej szlifierni...

— Burke?... A tak, jeżeli się nie mylę, Walter Burke... Owszem, owszem, przypominam sobie to nazwisko, ale to już tak dawno... Chociaż przyjrzawszy się dobrze panu, zdaje mi się, że i pana sobie przypominam... Bardzo mi przyjemnie, że mnie pan odwiedził... Może pan zapali, panie Burke? — dodał, posuwając ku Burskiemu pudełko cygar.

— Dziękuję — odrzekł Burski, wybierając wonne Havana.

Zapaliwszy cygaro, sięgnął do kieszeni i wyjąwszy paczkę, rzekł:

— Nie będę zabierał panu drogiego czasu, panie Smith. — W niewielu słowach powiem, co mnie tu sprowadziło.

— Proszę bardzo, słucham pana — odpowiedział uprzejmie hurtownik drogich kamieni.

— W tych dniach przyjechałem z Ameryki Południowej — zaczął Burski opowiadać. — Przebywałem kilkanaście lat w Moutanji, w bezludnych prawie górach. Mając wiele wolnego czasu, włóczyłem się całemi dniami po rozpadlinach skał i podczas tych wędrówek znalazłem raz kilka czerwonych, przezroczystych kamyków, które z łatwością rozpoznałem jako rubiny. Zachęciło mnie to do dalszych poszukiwań i od tego czasu wybierałem się w góry zaopatrzony w rydel i oskard. Natrafiłem widocznie na szczęśliwe miejsce, bo nie było prawie dnia, żebym nie znalazł jakiegoś wartościowego kamienia. Przez te kilkanaście lat uzbierałem ich bardzo znaczną ilość...

— Czy to może w tej paczce ma pan te kamienie? — przerwał mu Smith, wskazując leżące na biurku zawiniątko.

— Tak, panie Smith. A że sam nie mogę dokładnie określić ich wartości, przyszedłem do pana z prośbą o ich oszacowanie, a jeżeli panowie kupujecie surowe kamienie, to chciałbym je sprzedać.

— Owszem — odparł Smith. — Możemy panu kamienie oszacować, a jeżeli okażą się odpowiednie dla nas, — kupimy je chętnie.

Nacisnął dzwonek na biurku. W drzwiach momentalnie ukazał się chłopiec biurowy.

— Czy pan Mortimer jest w biurze? — spytał Smith.

— Jest — krótko odpowiedział chłopiec.

— Poprosić go do mnie. A ty, mój chłopcze, przynieś małą wagę i mikroskop.

Po chwili do gabinetu szefa wszedł chudy, niepozorny człowieczek i stanąwszy przed biurkiem spojrzał pytająco na Smitha.

— Panie Mortimer, — przemówił Smith — oto jest dawny mój znajomy, pan Burke. Panie Burke... pan Mortimer, nasz małomówny, ale znakomity taksator i niezrównany znawca kamieni.

Mortimer skłonił się nie mówiąc ani słowa.

— Otóż pan Burke przyniósł trochę kamieni do oszacowania. Niech pan je obejrzy i powie nam, jaka jest ich wartość.

Mortimer nic nie mówiąc zasiadł przy małem biureczku, stojącem tuż pod bokiem biurka szefa, ustawił przyniesioną przez chłopca wagę, sprawdził czy działa prawidłowo, rozłożył przed sobą kawałek czarnego aksamitu i znów spojrzał na szefa.



Lato i wiosna to pora radosnych i najmilszych zabaw dla dzieci. W parkach i dziecięcych ogródkach, gdzie tylko spojrzymy, widzimy jasne, uśmiechnięte twarzyczki milusińskich. Nierzadko również na potykamy tam tak przemiłe sceny, jaką widzimy na naszej ilustracji.

Smith roześmiał się dobrodusznie.

— A przemówże pan choć słowo — zawołał. — Pan Burke gotów pomyśleć, że pan jest niemy!

— Kamienie! — odparł Mortimer i wskazał oczyma na paczkę.

— Panie Burke, niech pan rozwinie paczkę.

Posłuszny wezwaniu Burski porozcinał sznurek i odwinąwszy płótno, wysypał na biurko całą masę różnokolorowych kamyków. Były między niemi mniejsze i większe, niektóre nawet spore, o przeróżnych barwach i odcieniach. Jedne były pokryte szorstką, brudną powłoką, inne połyskiwały żywym blaskiem i mieniły się w świetle elektryczności.

— Hm... — ozwał się Smith — sporo tego pan uzbierał. — Zobaczymy, co ten mruk nam powie. No, panie Mortimer, proszę, niech pan ogląda i szacuje.

— Peru, — rzucił półgębkiem Mortimer.

Smith spojrzał z dumą na Burskiego. Pysznił się, że jego pracownik tak odrazu poznał źródło pochodzenia kamieni.

Mortimer przełożył kamienie na aksamit i począł oglądać każdy szczegółowo. Patrzył na nie przez lupę, podkładał pod mikroskop i zważywszy układał na wielkim arkuszu papieru, oznaczając przy każdym ilość karatów, nazwę i jakość kamienia. Przez cały czas (a badanie kamieni trwało bardzo długo) nie wyrzekł ani słowa, tylko skwapliwie ważył, oglądał i notował.

Wreszcie po upływie dobrych dwóch godzin wezwał chłopca, żeby mu przyniósł maszynkę do liczenia, zsumował długi szereg cyfr i podając Smithowi wstążkę papieru wydobytą z maszynki, rzekł jedno tylko słowo:

— Gotowe.

— Dziękuję, panie Mortimer — odpowiedział Smith spoglądając na arkusz założony kamieniami i na podaną sobie kartkę. Mortimer skłonił się w milczeniu i wyszedł z gabinetu.

— Dziwak — zwrócił się hurtownik do Burskiego, — ale człowiek nieposzlakowanej uczciwości i jeden z najlepszych znawców drogich kamieni na całym świecie. Może pan być pewny, że nikt lepiej i uczciwiej nie oszacuje kamieni.

Burski uśmiechnął się.

— Rzeczywiście małomówny — rzekł. — Przez tyle czasu wyrzekł zaledwie cztery wyrazy: „Kamienie, Peru, Maszynka i Gotowe".

— No, zobaczymy, co on nam tu podał. Ten papier będzie wymowniejszy od niego. Otóż, panie Burski, wartość rynkowa tych wszystkich kamieni razem wynosi według jego oszacowania blisko dwieście tysięcy dolarów, mówiąc dokładnie: sto osiemdziesiąt pięć tysięcy...

Smith wymówił tę sumę tak obojętnie, jakby chodziło nie o tysiące dolarów, lecz o centy.

— Dziwi może pana tak wysoka wartość tych kamieni — ciągnął dalej hurtownik, patrząc na Burskiego. — Otóż wśród nich znajduje się kilkanaście dużych najczystszej wody szmaragdów, z których będzie można wydobyć przez odpowiednie oszlifowanie najwspanialsze klejnoty. Największy z tych szmaragdów ma wartość, tak jak jest, nieoszlifowany, piętnastu tysięcy. Mniejsze są mniej warte. Reszta kamieni składa się z topazów, szafirów, rubinów i ametystów. Gdyby wszystkie były czyste, bez skaz, dostałby pan za nie około pół miljona, ale ponieważ znaczna ich ilość ma skazy i wady, suma sto osiemdziesiąt pięć tysięcy przedstawia rzeczywistą ich wartość.

Burski promieniał. Nie przypuszczał ani na chwilę, żeby uzbierane przez niego kamienie warte były choćby połowę tej sumy. Radość ogarnęła go na myśl, że będzie mógł ofiarować Haneczce tak wielki majątek.

— Przyjemna niespodzianka — rzekł śmiejąc się Smith, który prawie czytał myśli Burskiego.

— Przyznam, że w samej rzeczy nie spodziewałem się, by te kamienie były tyle warte — odparł Burski.

— Co zaś do nabycia przez nas tych kamieni, muszę panu powiedzieć, że na niektóre z nich jest mniejszy popyt na rynku i dlatego mogę ofiarować panu za wszystkie razem sumę szacunkową mniej dziesięć procent.

Obliczył szybko ołówkiem na kawałku papieru i rzekł:

— Dziesięć procent od stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy — osiemnaście tysięcy pięćset, pozostaje sto sześćdziesiąt sześć i pół tysiąca. Czy zgadza się pan na tę sumę?

— Ależ naturalnie — odparł Burski. — Z największą chęcią.

— W takim razie interes uważam za ubity. W tej chwili przyniosą panu czek.

Podniósł słuchawkę telefoniczną.

— Kasa? — rzucił. — Proszę przysłać po kamienie, zakupione przeze mnie i przechować je w skarbcu. Niech kasa wystawi czek na sto sześćdziesiąt sześć tysięcy pięćset dolarów na nazwisko Walter Burke...

— Przepraszam pana — przerwał mu Burski. — Mógłbym mieć trudności w inkasowaniu czeku, więc trzeba, żeby moje nazwisko było dokładnie podane. Burski...

— Aha.. Na nazwisko Burski... bi-ju-ar-es-ke-aj — sylabizował Smith w słuchawkę.

Za chwilę chłopiec przyniósł żółtawy kawałek papieru i podał go Smithowi. Ten przeczytał uważnie, położył u dołu swój podpis i podał Burskiemu.

— Proszę — rzekł. — Mały kawałek papieru, ale ciężki, co?

Po kilku minutach Burski był już na ulicy, uśmiechnięty i rozradowany. Kierował się na Broadway i chciał wejść do pierwszego napotkanego banku, by zdeponować czek i otworzyć rachunek dla siebie, gdy spojrzawszy na zegarek stwierdził, że godziny bankowe dawno już minęły. Wszedł więc do restauracji, kazał podać sobie skromny obiad i zjadłszy pojechał do hotelu.

Nie czekał długo na Stefana, gdyż po upływie pół godziny rozległo się pukanie do drzwi i Lubicz stanął w progu.

— Proszę, proszę pana — rzekł Burski. — Nie spodziewałem się pana tak wcześnie i bardzo dziękuję, że pan przyszedł. Niechże się pan rozgości, pogadamy.

Stefan usiadł przy stole.

— Dziwi pana zapewne, że poprosiłem pana do siebie. Otóż, panie Lubicz, chciałem pomówić z panem o bardzo ważnych rzeczach.

— Słucham pana — odparł, zaniepokojony cokolwiek.

— Otóż, mój młody przyjacielu, — zaczął Burski — chciałem pomówić z panem o mojej córce. Powiedział mi pan przy pierwszem spotkaniu, że zaręczył się pan z Haneczką. Przyznam otwarcie, że zabolało mnie to bardzo, bo zaledwie przyjechałem, nie widząc jeszcze tego dziecka, do którego przez tyle lat tęskniłem, już dowiedziałem się, że może mi Haneczkę ktoś zabrać...

— Zabrać? Nie, panie Burski. Miałby pan tylko zamiast jednej córki odrazu i przywiązanego syna, bo przecież, jeżeli pan da nam swoje błogosławieństwo, tylko razem i zawsze razem z panem mieszkalibyśmy.

Burski uśmiechnął się łagodnie.

— Niech pan pozwoli — rzekł. — Zabolało mnie tedy, gdy pan powiedział o zaręczynach z Haneczką. Ale taki to już los rodziców na świecie... Choć z bólem serca, nieraz muszą oddawać swe dzieci innym. Co do Haneczki, nie mam prawa ani woli korzystać wobec niej z władzy ojcowskiej. Bóg nie pozwolił, żebym ją wychował, zostawiłem ją na łasce obcych i choć nie z własnej winy, ale jednak sprawiłem, że lata dzieciństwa spędziła w sieroctwie i wiele wycierpiała w rękach ludzi obcych. O tem więc, czy pozwolę na małżeństwo pana z moją córką, nie mówmy. Haneczka postąpi jak zechce...

Stefan chwycił Burskiego za rękę i serdecznie ją uścisnął.

— O, panie Burski — zawołał z zapałem — jakże potrafię odwdzięczyć się panu...

— Chwileczkę — przerwał mu Burski. — Chciałem się zapytać, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że małżeń-



W Czechosłowacji odbyły się wielkie manewry lotnicze. Na ilustracji widać publiczność, obserwującą ćwiczenia lotnicze nad lotniskiem w Pradze. W pierwszych rzędach siedzą wysocy dostojnicy państwowi i dyplomacja.

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy drukować niezwykle zajmującą powieść sławnego powieściopisarza **Breszko-Breszkowskiego** pod tyt.: **„Skarby Chana Mugańskiego"**. Powieść ta, ze względu na swą barwną i oryginalną treść, przysporzy niejednemu moc niecodziennych wzruszeń i wrażeń — wprowadzi Czytelnika w zaczarowany świat baśni — baśni dla „dużych dzieci". Podejdźmy więc wszyscy do nowo rozpoczętej powieści z całem zaufaniem i życzliwością!...

stwo pociąga za sobą wiele twardych obowiązków, że kiedy miną pierwsze miesiące uniesień, nastąpią po nich długie lata walki o byt? Że obowiązkiem mężczyzny jest dostarczanie środków na utrzymanie nietylko dla siebie, ale i dla żony? Że przyszłość kobiety jest nierozerwalnie złączona z przyszłością mężczyzny, w małżeństwie? Czy pan pomyślał o tem?

— Myślałem i myślę, że przyszłość nasza będzie jednem pasmem nieprzerwanego szczęścia, bo miłość nasza nie jest czasowym porywem dwojga młodych ludzi, ale uczuciem trwałem, które przez długie lata rozwijało się i potężniało i dlatego zawsze trwać będzie. Toż my, panie Burski, nie wiedząc o tem, od lat dziecięcych kochaliśmy się. Byliśmy oddaleni od siebie, ale serca nasze zawsze biły tylko razem, w jeden takt szczery i serdeczny... Nie, panie Burski, nie obawiam się o przyszłość naszą...

— Wierzę, że może pan nie obawiać się o przyszłość pod względem idealnym. Ale czy zastanowił się pan nad materjalną stroną życia? Jest pan młodym człowiekiem, życie przedstawia się panu różowo, ale — niech pan daruje, że mówię tak otwarcie, — nie ma pan jeszcze zapewnionej przyszłości, inaczej mówiąc, nie ma pan majątku ani stanowiska, które zapewniałoby panu dostatni byt...

— Majątek? — zawołał Stefan. — Majątek mam niewyczerpany i taki, którego nikt mi zabrać nie może: praca i chęć do pracy!

— Bo, widzi pan, Haneczka jest ubogą dziewczyną i nie ma nic, prócz swej młodości i urody, a młodość i uroda minie z czasem...

— Ale nie minie uroda jej pięknej duszy, panie Burski.

— To ładnie brzmi, panie Stefanie, ale nie zapewni utrzymania żonie. Przytem niech pan pamięta i o tem, że ma pan zacną, poczciwą matkę, której jedyną podporą pan jesteś.

— Potrafię zapracować na Haneczkę i na matkę. Zresztą muszę panu powiedzieć, że jeżeli chodzi o majątek, to Haneczka ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów, z których ja jednego centa bym nie ruszył. Nie dla pieniędzy chcę ją wziąć, panie Burski...

Na twarzy Burskiego odbiło się nieopisane zdziwienie.

— Pięćdziesiąt tysięcy? — zapytał z niedowierzaniem.

— Tak. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, złożone w banku na jej imię. Podarek od pana Steele, miljonera, który tę sumę złożył jako kaucję w sądzie, kiedy mnie więziono, jako podejrzanego o zamordowanie Wintersa...

— Skądże taka hojność bogacza? — spytał niespokojnie Burski. — Jakiż stosunek łączył Haneczkę z miljonerem.

— Zwykła fantazja bogatego człowieka. Powiem panu jak się to stało. Od lat wielu znamy starego Irlandczyka, sierżanta Sogana. Człowiek zacny i poczciwy jak rzadko. Otóż ten Sogan kiedyś uratował życie synowi owego pana Steele i nie chciał przyjąć żadnej nagrody za narażenie swego życia. Upłynęły lata. Gdy Winters przyjechał, poszedłem z nim do Sogana z prośbą o pomoc w zbadaniu pańskiej sprawy. W ten sposób Sogan poznał Wintersa... Kiedy dowiedział się, że Winters został zamordowany i mnie aresztowano, poczciwy policjant za swoje oszczędności postarał się o obrońcę dla mnie i poszedł do Steele'go z prośbą, by pożyczył mu pieniędzy na kaucję, jakiej trzeba było, by mnie wydobyć z więzienia.

Burski słuchał z ogromnem zaciekawieniem.

— Steele bez wahania dał Soganowi czek na pięćdziesiąt tysięcy, które zostały złożone w sądzie. Przyjechał na rozprawę i tam zobaczył Haneczkę. Ujęła go za serce, jak zresztą wszystkich ujmuje. Stary miljoner, chcąc zrobić przyjemność Soganowi, a równocześnie pomóc Haneczce, polecił memu obrońcy, aby cała suma złożona na kaucję była ulokowana w banku, jako posag dla pańskiej córki. W ten sposób Haneczka przyszła do posiadania tych pieniędzy.

— Tak — rzekł Burski w zamyśleniu. — Ale teraz, skoro ojciec Haneczki wrócił, trzeba podziękować temu panu Steele i zwrócić mu pięćdziesiąt tysięcy. Czy pan nie podziela mego zdania?

— Owszem — odparł Stefan — ale wątpię, czy Steele przyjmie pieniądze spowrotem. Bo to człowiek bardzo bogaty i gdy raz dał, z pewnością nie zechce odbierać. Sądzę, że te pieniądze powinny być przeznaczone na jakiś cel dobroczynny, na sieroty czy inny jaki cel w tym rodzaju, naturalnie w imieniu Steele'go.

— Cieszę się, że tak pan myśli, panie Stefanie. No, ale teraz muszę powiedzieć panu prawdę. Umyślnie mówiłem, że Haneczka jest ubogą dziewczyną, chcąc wypróbować pana.

— Jakto?

— Widzę, że pan rzeczywiście ją kocha i wziąłby ją pan, gdyby grosza nie miała, wszak prawda?

— Taką ją też wezmę, za pańską zgodą i błogosławieństwem.

— Nie, panie Stefanie. Nie weźmie jej pan bez posagu, bo trzeba panu wiedzieć, że Haneczka ma znaczny majątek. Poszczęściło mi się na wygnaniu. Gdy Winters odjechał, nazbierałem wiele drogich kamieni, które przywiozłem z sobą do New Yorku. Dziś właśnie sprzedałem je za sumę, jak dla nas, bardzo dużą. Mam przy sobie czek na przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cóż pan na to?

— Cieszę się, że ma pan tyle pieniędzy, bo co do mnie, — powiedziałem, że potrafię zapracować i obejdę się bez posagu.

— No, no... jakoś to będzie. Nie chciałbym, żeby moja córka musiała polegać tylko na tem, co pan zapracuje jako dziennikarz, otrzymujący tygodniową czy miesięczną pensję. Dlatego postanowiłem złożyć w dzień ślubu waszego sumę stu tysięcy dolarów na książeczkę bankową na wasze wspólne imię...

— Ależ, panie Burski...

— Procenty od tej sumy razem z tem, co pan zapracuje, wystarczą na dostatnie utrzymanie domu. Zresztą to już będzie pańska rzecz, jak postąpić z temi pieniędzmi. Jestem święcie przekonany, że ich pan nie roztrwoni. Nie dawno pana poznałem, bo dopiero kilka dni temu, a jednak mam do pana całkowite zaufanie, jako do człowieka uczciwego i rozsądnego.

— Dziękuję panu. Cieszy mnie to tembardziej, że słyszę te słowa z ust ojca Haneczki.



W Palestynie doszło w ostatnich dniach do wielkich rozruchów arabsko-żydowskich, podczas których dokonano licznych zabójstw. Władze angielskie, chcąc zapobiec tym zajściom, urządziły rewizje w okolicznych wioskach, celem skonfiskowania broni. Na zdjęciu widzimy rodzinę arabską, która musiała wynieść z domu cały swój dobytek, aby ułatwić żołnierzom rewizję.

— Co zaś do daty ślubu, pragnąłbym, żebyście poczekali przynajmniej rok...
Twarz Stefana przedłużyła się.

— Przez ten czas będę czynił wszelkie możliwe kroki ku odnalezieniu morderców biednego Wintersa. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby mi pan chciał pomóc w tem trudnem przedsięwzięciu. A któż lepiej od pana mógłby przyjść z pomocą? Nie będziemy szczędzić pieniędzy ani trudów i mam nadzieję, że uda się nam oddać sprawców tego ohydnego mordu w ręce sprawiedliwości... No, cóż, pomoże mi pan?

— Całem sercem. Niech pan mną rozporządza, gotów jestem każdej chwili. Ale co do tego roku... na strasznie ciężką próbę mnie pan wystawia...

— Jakoś wytrzymacie. Tak długo czekaliście na siebie, to jeszcze poczekacie. Tymczasem ja się jako tako urządzę, odnajdę rodzinę Wintersa i postaram się jej dopomóc i gdy się wszystko gładko ułoży, urządzimy weselisko, że w niebie będzie słychać! Przytem niechże pan pozwoli i mnie nacieszyć się córką, póki jej pan nie zabierze.

Pożegnali się serdecznie, umówiwszy się, że Stefan postara się o dobrego detektywa z prywatnej agencji, który zajmie się poszukiwaniem śladów zbrodniarzy, którzy zabili Wintersa; Burski zaś ma pokrywać wszelkie koszty połączone z tem poszukiwaniem.

* *
*

Po kilkunastu dniach Burski zamieszkał z Haneczką w wygodnym, obszernym domku na krańcach Brooklyna w niewielkiej odległości od mieszkania Stefana. Haneczka nie posiadała się z radości, gdy znalazła się po raz pierwszy w życiu w domu, który mogła nazwać własnym. Przebiegała wszystkie pokoje, zachwycając się nad umeblowaniem każdego, a gdy wbiegła do kuchni i ujrzała tam wystrojoną w świeży biały fartuch i czepiec starą Marję Annę, którą Burski podstępnie wywabił z „Rajskiego Kącika“ Hardenów i przyjął jako gospodynię do własnego domu, dziewczyna aż rozpłakała się ze wzruszenia i uciechy. Uściskała poczciwą Murzynkę, która ze łzami ją przywitała, i wycałowała ojca do utraty tchu.

Wieczorem tego dnia odbyło się tak zwane „ogrzanie domu“, na które zostali zaproszeni Lubiczowa z synem i sierżant policji Sogan. Podczas wspólnej wieczerzy, przygotowanej znakomicie przez Marję - Annę, odbyły się formalne zaręczyny Stefana z Haneczką, oblane przez szczęśliwą matkę narzeczonego i murzynkę — gospodynię rzęsistemi łzami radości, przez mężczyzn zaś kilkoma butelkami starego wina. Sogan udawał zagniewanego na Haneczkę, utrzymując, że zwiodła go niegodnie, bo on właśnie miał zamiar oświadczyć się o jej rękę, do czego zachęciła go w swoim czasie, kiedy to przy świadkach, w biały dzień, ucałowała tak serdecznie, że do dziś dnia pamięta ten pocałunek.

— Tak? — zawołała wesoło. — No, to niech mi pan zaraz odda tego całusa, nie chcę być panu winną!



Japonja wysyła już do Berlina ekwipunki członków japońskiej drużyny sportowej, która weźmie udział w letniej Olimpjadzie w Berlinie.

I nadstawiła mu czyste swe czoło, a staremu wydze w oczach pociemniało ze wzruszenia.

— Niech cię bóg błogosławi, moje dziecko — rzekł prosto i dotknął ustami jej czoła.

— Tak, teraz jesteśmy w porządku — powiedziała, śmiejąc się. — A teraz, panie Stefanie, kolej na ciebie!

I wyciągnęła ramiona do narzeczonego, który objął ją w potężnym uścisku i wyszeptał:

— Moja, moja, na zawsze moja Haneczka...

A za nim stał Burski i kreśląc w powietrzu krzyż drżącemi rękoma, błogosławił młodą, szczęśliwą parę.

Część II
Prohibicja

Dziwne panowały stosunki w Stanach Zjednoczonych, w czasach, kiedy prohibicję częściowo dopiero wprowadzono do poszczególnych stanów. Bywało, że w jednym i tym samym stanie w kilku powiatach istniał zakaz sprzedawania napojów alkoholowych, a tuż obok w najlepsze rozwijały się i kwitły szynkownie, czyli jak mówi się w Ameryce, — „saluny“. Były stany zupełnie i częściowo „suche“, a raczej gwałtownie osuszone przez zwolenników prohibicji, którym się zdawało, że suchy zakaz odrazu powstrzyma szanującą prawo ludność od picia wódki i wszelkich mocniejszych trunków. W osuszonych okolicach zamykano saluny i zamieniano je na miejsca sprzedaży wszelkiego rodzaju lemoniad i wód gazowych, które odrazu zyskały sobie nazwę „napojów miękkich“ (soft drinks) w przeciwieństwie do „twardych trunków“, skazanych na zupełną i ostateczną zagładę.

Ludność tych okolic dziwiła się ogromnie nowym prohibicyjnym ustawom, z pewnym żalem spoglądała na zamykane saluny, przysłuchiwała się w w skupieniu ducha licznym mowom, wygłaszanym na wiecach i zgromadzeniach Ligi przeciw - szynkarskiej, czytała niezliczone ulotki i broszurki wydawane kosztami nakładu tej Ligi i, pozbawiona w osuszonych miejscowościach owych twardszych napitków, tłumnie odwiedzała mokre strefy, gdzie można było dostać wszelkich napojów alkoholowych w każdej ilości i jakości.

I działy się rzeczy zgoła niespodziewane i dziwne. Ludzie, którzy dawniej nie używali wcale żadnych alkoholów, nagle poczuli nieprzeparty pociąg do kieliszka i zamiast uczęszczać do szkółek niedzielnych i brać udział w piknikach, urządzonych przez oddziały Ligi przeciwszynkarskiej, wymykali się z domów i wieczory całe spędzali w knajpach.

Objaw ten zatrwożył zwolenników prohibicji. Liga wzmacniała się z każdym dniem i rozszerzała propagandę po całym kraju. Duchowni wszelkich sekt i kościołów grzmieli z ambon i pulpitów przeciw pijaństwu. Pojawili się „ewangeliści“, którzy w otoczeniu licznych „sztabów“ jeździli po miastach i miasteczkach i w płomiennych mowach przedstawiali przerażonej ludności straszne skutki używania napojów alkoholowych. W wielu miastach stawiano specjalne przybytki dla tych misjonarzy prohibicji i wszelkiemi sposobami ułatwiano im „nawracanie“ ludu. Właściciele fabryk i wielkich zakładów przemysłowych jednogłośnie prawie opowiedzieli się po stronie idei zakazu wyrobu, a sprzedaży alkoholu.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

BRESZKO - BRESZKOWSKI

1)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

1. Pan w tropikalnym smokingu

U posła hiszpańskiego, hrabiego Avilli, bal. Ostatni w tym sezonie.

Z otwartych okien pałacyku w stylu maurytańskim płyną, wraz z potokami olśniewającego światła, upajające tony tanga, które giną gdzieś wśród drzew parku.

W sali, na tle białej kolumnady, suną pary, wsłuchane w rytm murzyńskiej orkiestry, przystrojonej po meksykańsku ze słomianemi stożkowatemi „sombrero" na głowach.

W sąsiednich salonach osoby starsze i obojętne na pokusy tańca grają w brydża.

Hrabia Avilla, typowy dyplomata, w pięknie skrojonym fraku z dwiema gwiazdami, bawi panów. Hrabina Pamela spełnia analogiczną funkcję uprzejmej gospodyni wobec pań, ochładzając wspaniałym wachlarzem piękną twarz i wydekoltowane plecy. Lecz — uprzejmość gospodyni jest tylko pozorna... W rzeczywistości zaś całą jej uwagę pochłania ktoś nieobecny, którego ukradkiem szukają jej oczy... Z wymuszonym i dystyngowanym uśmiechem machinalnie odpowiada na jakieś pytania donji Chuerta, żonie prezydenta republiki.

Nagle między rozmawiającemi paniami wyrasta potężna tusza generała - inspektora korduelskiej piechoty Barbasana. Jego czerwona, nalana tłuszczem twarz oraz grube, czerwone ręce znamionują niskie pochodzenie. Ręce ukrył w białych, nicianych rękawiczkach, takich samych, jakie nosi służba hrabiny Pameli. Twarzy, niestety, ukryć się nie dało! Barbasan robi wrażenie rzeźnika, który wystroił się na maskaradę w błyszczący złotem mundur generała.

— Czy mogę prosić panią hrabinę o szczęście zatańczenia z nią?

Hrabina struchlała... Z własnego bowiem doświadczenia wiedziała, jakie „szczęście" ją czeka: ten niedźwiedź będzie deptał ją po nogach, będzie sapał nieświeżym, przepoconym oddechem prosto w twarz, będzie ją „rozbierał" wąskiemi szparkami swoich oczu, miętosząc spoconemi rękami jej plecy... Ohyda! Ale odmówić nie wypada! Barbasan jest bowiem nietylko generałem - inspektorem piechoty, ale niewątpliwie zostanie wkrótce dyktatorem. I dlatego — miły, zachęcający uśmiech:

— Z przyjemnością, generale, z przyjemnością...

Z takim samym uśmiechem Pamela przeprosiła żonę prezydenta i rozpromieniony Barbasan poprowadził swoją damę. Po drodze stara się ją „bawić":

— Obecnie przyjęła się moda tańczenia bez rękawiczek... Ale ja nie mogę... Moje ręce, wie pani, bardzo się pocą...

Hrabina milcząc ochładza się wachlarzem. Jej oczy szukały tego, który był jeszcze nieobecny.

Młodzież w sali z białemi kolumnami tańczyła bez zarzutu pełne uczucia i plastyki tango. Oficerowie i cywilni tworzyli ze swojemi szykownemi damami harmonijną całość.

Było coś śpiewnego, płynnego w ruchach, w linjach, w splotach młodych, zgrabnych ciał, w rytmie muzyki powolnej, przeciągłej, pełnej utajonych, lecz dojrzewających marzeń i zmysłów.

Dla hrabiny Pameli to wszystko było udręką. Udręką z wiadomych powodów i jeszcze bardziej dlatego, że ujrzała wreszcie „jego."

„On" zaś, udając, że nie widzi Pameli, z monoklem w oku obserwował panie, wystrojone w europejskie suknie balowe i w narodowe stroje hiszpańskie.

Hrabina w pierwszym momencie nie poznała „go," gdyż zazwyczaj, w towarzystwie bywał w mundurze generała, który tak bardzo odpowiadał jego wiotkiej i silnej figurze kawalerzysty - sportowca. Tym razem był w cieńkim i lekkim smokingu podzwrotnikowym.

W cywilnem ubraniu tak samo interesująco i zgrabnie wyglądał ten brunet średniego wzrostu o typie Azjaty. Czarne oczy tryskają ogniem, wolą i energją, głębią jakichś dalekich, nieznanych krain... Zdecydowana linja ust. Małe uszy mocno przylegają do czaszki, przypominającej budową głowę tygrysa...

Otyły i ciężki Barbasan gonił resztkami sił. Pot strumieniami ściekał z jego tłustych policzków na kute złoto generalskiego kołnierza. Chętnie odprowadziłby swoją damę na miejsce, ale, po pierwsze, przyciskanie Pameli ręką w mokrej nicianej rękawiczce sprawiało mu przyjemność, a powtóre, i on spostrzegł pana w tropikalnym smokingu. Niech zazdrości! Jeszcze jedno okrążenie! W tłustych szparkach ócz Barbasana błyszczały złe iskierki... Jeszcze jedno okrążenie!...

Ale i hrabina już upadała na siłach.

— Generale, tchu mi zabrakło, mam zawroty głowy! —

Hrabina była bliska zemdlenia.

Barbasan wspaniałomyślnie zlitował się nad nią.

— Doprawdy gorąco. Nawet elektryczne wentylatory nie pomagają! Cały jestem mokry! Można mnie wyżymać, jak bieliznę!.

Generał usadowił hrabinę i pobiegł do bufetu, skąd przyniósł jej oranżady z lodem, poczem poszedł gasić własne pragnienie.

Do hrabiny podszedł ten, na którego czekała tak długo. W zaciśniętej linji jego ust i w oczach była wymówka.

— Pan jest zazdrosny? O tę brudną... bestję? — szepnęła hrabina i, obejrzawszy się, dodała jeszcze ciszej: — Proszę czekać na mnie w parku... Przy końcu alei na prawo... Ławeczka... Za dwie lub trzy minuty będę tam...

Nieznajomy obszedł salę dokoła, celowo, nadając całej swej postaci znudzony wygląd, wyszedł na werandę i po okrążeniu fontany, odbijającej w strumieniach wody światła różnokolorowych latarni, zniknął w ciemnej alei. Chłód i ciemność pochłonęły go.

Zbliżył się do ławeczki. Lecz nie mógł siedzieć... Wstał i zaczął się przechadzać... Zapalił papierosa i zaraz odrzucił. Sekundy rosły w nieskończoność...

Po chwili raczej odgadł, wyczuł jej zbliżanie się, aniżeli usłyszał kroki i ujrzał jej sylwetkę... Powiewnym obłoczkiem wydała mu się ona, lekka bezcielesna...

— Przychodzę na kilka chwil... Niech mnie pan nie zatrzymuje... Nas mogą zauważyć... Chciałam tylko powiedzieć, że kocham pana... kocham... Oh! w imię Przenajczystszej Dziewicy, niech mnie pan nie całuje! Tu drzewa nawet mają oczy i uszy... Ostatnie tango tańczę z panem... Wtedy — pomówimy o wszystkiem...

— Hrabino! Proszę zostać! Pani słyszy?... stamtąd, z miasta... dźwięki gitar... Jaka cudna noc!... Pełna namiętnych wołań!... Zostań!...

— Bądź wyrozumiały, mój luby!... Miej litość dla mnie!... Więc — ostatnie tango!... Tylko z tobą...

Zniknęła. Pozostał zapach jej perfum...

Ten zapach i wysubtelnione odległością dźwięki gitary, wołające, pełne miłosnego cierpienia, błagalne, niepokoiły go. Znowu zapalił papierosa i znowu odrzucił go daleko w trawę...

Po chwili ruszył powolnym, leniwym krokiem w stronę willi, pociągającej światłem i melodją.

Nagle wysoko, młody oficer, wyrósł jak z pod ziemi przed nim.

— Poruczniku Dziatz, pan mnie podgląda? — ostro zwrócił się do niego pan w podzwrotnikowym smokingu.

— Ekscelencjo! Ja nie podglądałem, ja szukałem pana... Każda minuta droga! Śmiertelnie niebezpieczeństwo grozi panu! — jednym tchem wypalił Dziatz.

— Mnie?

— Nie tylko! Ale panu przedewszystkiem!... W kilku słowach powtarzam: każda minuta jest droga!... Dziś w nocy Barbasan dokona zamachu stanu... Dowiedziałem się o tem przed kwadransem i przybiegłem ostrzec ekscelencję... On już zadecydował o losie pana... W lepszym wypadku pana rozstrzelają, a w gorszym — on każe najpierw wziąć pana na tortury, a potem rozstrzelać...

— Ale za co? Skąd tyle nienawiści?

Za co? Pan nie zna Barbasana?... Dlatego, że jest pan popularny w naszej kawalerji. Dlatego, że w całym kraju niema kawalerzysty, któryby panu dorównał odwagę i piękną postawą... Dlatego, że pan należy do starego rodu, a on pochodzi z ludu... Dlatego, że pan ma powodzenie u kobiet, a zwłaszcza u hrabiny Avilli... Dlatego... Ale, mój Boże, tracimy czas!... Pana mieszkanie jest już obsadzone przez szpiegów Barbasana. Jego ludzie, uzbrojeni od głów do nóg, czatują koło wrót willi hrabiego, żeby aresztować, przy rozjeżdżaniu się gości, prezydenta republiki i pana... Niech pan ucieka, ekscelencjo, niech pan ratuje swoją głowę!...

— Uciec?! jak podły tchórz?... Za nic!... I zresztą... przyrzekłem ostatnie tango hrabinie Avilli!...

— Szaleństwo! Istne szaleństwo! Ostatnie tango będzie doprawdy ostatniem w życiu waszej ekscelencji!... Poco ta brawura? Nikt nie wątpi, że pan jest wyjątkowo odważny!... Czy nie rozprószył pan, ekscelencjo, na czele jednej dywizji kawalerji całą armję republiki Murcia? Rozumiem bohaterską śmierć na polu chwały, ale zginąć z rąk katów Barbasana... Sprawić temu bydlęciu największą rozkosz?...

— Ma pan rację, drogi Dziatz, — zgodził się dowódca korduchskiej kawalerji po chwili namysłu, — moja głowa może się jeszcze przydać i mnie i innym... Ale jak i dokąd uciec, skoro pan sam mówi, że brama jest strzeżona?...

— Tak, ale tylny mur parku przylega do pustyni... Jego nikt nie strzeże... Mur jest wysoki, ale ja pomogę panu przejść... Niech pan ucieka! Pan wie — granica nie strzeżona ani z tej ani z tamtej strony; okolicę pan zna z marszów swojej dywizji, gdzie miałem wysoki zaszczyt być pana podkomendnym, ekscelencjo... Czy ma pan rewolwer? Pieniądze?

— Rewolweru nie wziąłem, ale kilkaset pezo mam przy sobie. W pustyni rewolwer jest droższy od pieniędzy. Przy jego pomocy można dostać i zdobyć to, czego się nie otrzyma za żadne pieniądze...

— Proszę, tu ma pan automatyczny, jedenastostrzałowy pistolet... i kilka tabliczek czekolady, to wszystko, co zdążyłem wziąć w pospiechu... Niech się pan spieszy, ekscelencjo! Do świtu pozostało tylko półtorej godziny. Nim się obejrzą, nim przeszukają całą okolicę, pan będzie już daleko... Barbasanowi nawet do głowy nie przyjdzie poszukiwać pana w pustyni...

— Dziatz, proszę mi przyrzec, że zaraz po rozstaniu się ze mną, znajdzie pan odpowiedni moment i powie o wszystkiem hrabinie. O wszystkiem!

— Zrobię to niezwłocznie, ekscelencjo!

Generał schował do jednej kieszeni ciężki automatyczny pistolet, do drugiej paczkę czekolady...

— Dziatz, proszę mnie prowadzić!

Podeszli do wysokiego muru. Dookoła cisza, ciemno, pusto... Ani żywej duszy...

Porucznik oparł się rękomą o mur. Zbieg zwinnym skokiem znalazł się na plecach porucznika, który wyprostował się i uniósł się jeszcze wyżej. Po chwili generał siedział na murze z nogami, spuszczonemi na tamtą stronę...

— Niech pana Bóg prowadzi, ekscelencjo!

Skok wdół, głuche uderzenie o ziemię... I znowu cisza wokół...

Pan w podzwrotnikowym smokingu oddał siebie i swój los pustyni, pełnej tajemnic i niebezpieczeństw.

2. Czego nie przewidział porucznik Dziatz

Zbieg nie myślał o kierunku. On wiedział dobrze, gdzie leży granica. Celem jego było oddalić się jak najbardziej od Huelvy, stolicy Korduli.

Im większa przestrzeń piasków, gołych kamiennych wzgórz i wąwozów pozostanie za nim, tem więcej będzie szans, że wygra stawkę, której na imię — życie... Jego nogi w jedwabnych skarpetkach i balowych lakierkach głęboko grzęzły w piasku, który jeszcze nie ostygł po upalnym dniu.

Zaledwie kilka minut temu on był człowiekiem na wybitnem stanowisku w państwie, które jest terytorjalnie dwa razy większe od Francji. Stanowisku, zdobytem żołnierskiem rzemiosłem, zdolnościami organizacyjnemi w wojskowym zawodzie i azjatycką, rodową szablą, która niemałą ilość głów strąciła w licznych wojnach...

Zaledwie kilka minut temu on był w dobranem europejskiem towarzystwie, w salonach hiszpańskiego posła, wchłaniał zapach perfum jego żony, czuł rytm jej serca, z rozkoszą myślał o tangu z nią...

I nic nie pozostało... Wszystko się zmieniło w tempie sensacyjnego filmu... Nawet dym wolniej rozpływa się w powietrzu... Znacznie wolniej!... Dym!...

Czy życie ludzkie, zwłaszcza w tych szalonych czasach, czyż nie jest jak dym marne i zależne od fantazyj losu, czasem szatańskich fantazyj?...

Nikogo i niczego niema...

Ani dowódcy kordulskiej kawalerji, ani szabli jego przodków — tę łatwą „zdobycz" posiadł zapewne jakiś żołdak Barbasana — ani sali z białemi kolumnami, ani pięknej pani, która wraz z ostatniem tangiem przyrzekła mu ostatnią miłość...

Pozostał zbieg, pozbawiony praw, bezdomny, prześladowany, w cienkim smokingu, bez kapelusza; zbieg, który skoczył z wysokiego muru wprost do pustyni głuchej, tajemniczej, bezbrzeżnej...

To wszystko wrogie, niebezpieczne, ukryte w bezkresnych przestrzeniach, spowitych mrokiem gwiaździstej nocy, nie przerażało go.

Najstraszniejsze rzeczy, najbardziej groźne i niebezpieczne, pozostały daleko w jego życiu tułacza, życiu pełnem krwawych przygód, najpierw jako żołnierza wielkiej wojny, następnie — bardziej okrutnej, bezlitosnej, zwierzęcej walki z bolszewikami... Potem jako zbieg, zbieg w nieporównanie tragiczniejszych, bardziej ryzykownych, aniżeli teraz warunkach... Potem — kondotjer, walczący daleko za oceanem w dalekiej krainie. Powodzenie... Sława... Wywyższenie do ideału młodzieży wojennej... Coraz mniej zarysowująca się perspektywa władzy dyktatorskiej.

I oto szatan skrzywił swoją piekielną twarz, zrobił wstrętny grymas, mrugnął okiem, pokazał długi język, podobny do niebieskiego płomienia, i... jakże niemiło jemu, kawalerzyście, prawie przez całe życie nie schodzącemu z konia, a miał lat trzydzieści pięć, ugniatać głęboki piasek pustyni lekkiemi, balowemi pantoflami...

Nie, on nie zna strachu i nie ulęknie się zaczajonej tajemnicy jutra, ale... tak ciężko rozstać się z dobrobytem i tak bardzo chciałoby się odpocząć po dwunastu latach bezustannych burz i zmian losu...

Precz, niepłodne myśli!

Niema nic bardziej bezcelowego, jak rozmyślanie o przeszłości, choćby nieodległej, najświeższej...

Trzeba wytrwać, wytrzymać fizycznie, przeżyć, a później...

Zbieg zaczął w myśli przeliczać swój „majątek“, swoje zapasy...

Dziesięć naboi do automatycznego pistoletu dużego kalibru. Nośność kilkaset kroków. Dziesięć naboi... Jedenasty — w położeniu bez wyjścia — dla siebie...

Spożywając ekonomicznie czekoladę, można będzie w przeciągu dwuch — trzech dni podtrzymywać jako-tako własne siły. Gorzej się sprawa przedstawia z papierosami. W złotej papierośnicy pozostało około dziesięciu. Jeszcze gorzej z zapałkami. Trzy — w płaskiem pudełku... Ot i wszystko... Kilkaset pezo w portfelu nie przedstawia żadnej wartości. Pustynia ma własne ustawy, własne prawo, własną „walutę“, wszystko własne, do innych nie podobne.

Tam daleko, w rodzinnych stepach, ludzie ginęli w jego oczach z pełnemi kieszeniami złota i brylantów tak samo, jak tu giną w piaskach i wertepach Południowej Ameryki. To go nauczyło patrzeć okiem filozofa na pieniądze i te rzeczy, którym wartość nadał świat cywilizowany.

Im bliżej świtu, tem było zimnej...

Podzwrotnikowy smoking był bardzo wygodny w sali balowej, ale tu, pod blednącemi gwiazdami, które z jaskrawo-złotych stawały się białemi, chłód coraz częściej przeszywał ciało...

Zasłona nocy stawała się przeźroczystą... Linje zarysowywały się wyraźniej, można już było rozróżnić barwy...

Przed nim wyrasta, jak wyspa nad żółtemi falami piasku, wielkie, niewysokie wzgórze, pokryte martwemi krzakami. Znane wzgórze. Prawie dwadzieścia kilometrów od Huelvy. Tylko pierwszy impuls, tylko chęć uratowania swobody i życia mogły go nieść, jak na skrzydłach, po tym grzęzkim piasku. Ale czy na długo starczy tego bodźca?... Zbieg obejrzał się.

W porannych oparach widniały dzwonnice kościołów Huelvy i chaotycznie rzucone domy wielkiego miasta...

On przytłumił westchnienie i oderwał wzrok... Trzeba patrzeć przed siebię, nie wtył. Biada temu, kto nie wypleni ze swej duszy spóźnionych żalów...

Chęć zapalenia papierosa bardzo mu dokuczała. Ale — przeważyła rozsądna oszczędność! Później będzie jeszcze gorzej...

Narazie odłamał kawałeczek czekolady i jadł idąc, przyczem, ażeby przedłużyć sobie przyjemność i oszukać wzrastający apetyt, żuł bardzo powoli...

Za wzgórzem mimowoli przystanął, olśniony przecudnym widokiem wschodzącego słońca, którego potężna tarcza wypłynęła nad horyzontem i zalała całą pustynię łagodnem, różowem światłem... Martwy, szaro-żółty piasek ożył i zadrżał w jakiemś upojnem, świątecznem uniesieniu...

W religijnej ekstazie rzucił się na kolana i zaczął odprawiać poranne modły... On był muzułmaninem. O tej wczesnej porze, odwróceni jak i on twarzą do Wschodu, jego współwyznawcy błogosławią Allaha i w Indjach — krainie baśni, i w pustyniach Mezopotamji, i w upalnej Saharze, i w górach Kaukazu, i w Turkestanie, i na bezkresach mugańskich stepów — wielkiej ojcowiźnie jego przodków-chanów...

Cały żar swojego serca włożył w słowa modlitwy i opromieniony, pełen wiary w Boga, w siebie i w swoje siły, ruszył w dalszą drogę...

Jakoś niespodziewanie, bez zwykłego przejścia, stało się nagle gorąco... Słońce się podniosło, zmniejszyło, rozgrzało i paliło...

Dokuczało pragnienie... Cierpliwości! Mniej więcej za dwie godziny drogi, idąc śladami ludzkich nóg i końskich kopyt, będzie studnia, wykopana przez wędrownych Indjan... Indjan już dawno niema, a studnia pozostała... Niemniej od pragnienia męczyła chęć zapalenia papierosa. Można sobie chyba pozwolić na rozkosz wypalenia jednego z dziesięciu papierosów... ale te trzy zapałki... co będzie, jeśli wiatr je zgasi?...

Nagle błysnęła myśl: monokl!... Wyjął z kieszonki okrągłe szkiełko, przy pomocy którego skoncentrował promienie słoneczne, i zapaliwszy papierosa, zaciągnął się z rozkoszą...

Ale — nie dane mu było wypalić całego papierosa. Zdążył tylko pomyśleć, ziębnąć, lecz zachowując spokój: Barbasan okazał się mądrzejszym, aniżeli przypuszczał porucznik Dziatz!

Trzej kawalerzyści gonili go drobnym kłusem, piasek nie pozwalał im galopować. Dzięki temu zbieg zyskiwał na czasie. W przeciwnym razie mogliby go zaskoczyć, zwalić z nóg, nie dać czasu i możności na przygotowanie się do obrony...

Jeden rewolwer przeciw trzem karabinom — przerażająco nierówne siły!

Prawdopodobnie ci czarni żandarmi w słomkowych sombrero i w mundurach ochronnej barwy otrzymali rozkaz schwytania żywcem wczorajszego dowódcę całej kordulskiej jazdy... I, prawdopodobnie, nie mieli jeszcze dość śmiałości, by zaatakować generała, którego odwaga stała się legendarną...

Stanęli w odległości około dwustu kroków... Jeden z żandarmów zawołał po hiszpańsku:

— Poddaj się!...

— Weźcie mnie! — rzucił im zbieg...

I cały się najeżył, zapalił się... Czarne oczy błysnęły ognikami gniewu i wyzwania. Jego czaszka jeszcze bardziej stała się podobna do czaszki tygrysa z przyciśniętemi do niej uszami...

Ale wściekłość tropionego zwierza i tak dobrze mu znane odurzenie czekającą go walką, bynajmniej nie zmniejszyły trzeźwości myśli i obliczeń. A obliczenia jego miały na celu zdobycie chociażby jednego konia. I wtedy skończyłaby się jego piesza tułaczka po tych dzikich bezdrożach...

I znowu wołanie:

— Poddaj się!

W odpowiedzi zbieg rzucił się na piasek, zmierzył się i wystrzelił. Środkowy żandarm wypuścił z ręki karabin i złapał się za łokieć z przekleństwem:

— Karamba!

Jeden wyleciał z szeregu...

Pozostali dwaj zaczęli ostrzeliwać przeciwnika z karabinów. Ale ogień z niespokojnych koni nie mógł być celny. Kule gwizdały dokoła, podrzucały piasek, wbijały się weń...

Nagle zbieg rzucił się konwulsyjnie całem ciałem, uniósł się i opadł nawznak i trochę nabok, rozrzucając ręce.

Żandarmi zatryumfowali:

— A, podły psie! Nie udało się schwytać cię żywcem, to zawieziemy głowę...

Obaj żandarmi zeszli z koni; ranny trzymał lejce, a oni powoli, brnąc ciężkiemi butami w głębokim piasku, zbliżali się do swojej ofiary, mając w opuszczonych rękach karabiny...

Pozostało może dwadzieścia kroków...

Błyskawicznym ruchem zbieg się podniósł; padły dwa strzały jeden po drugim i obaj żandarmi legli w piasku...

Widząc to trzeci żandarm w przerażeniu zaciął konia i uciekł, uprowadzając pozostałe konie...

Razem z kulą zbieg posłał wślad za nim przekleństwo... Ten nikczemny tchórz pozbawił go możności kontynuowania ucieczki konno... Ach, jaka szkoda!...

Zwycięstwo, niezupełnie caprawda, ale wspaniałe...

Obaj żandarmi zabici na miejscu. Pierwszy prosto w serce, drugi dostał strzał między oczy.

— Wielki jest Allah! — wyrwało ię z ust jego ekscelencji Ammałata Chana-Mugańskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

WYOBRAŻENIA ZAWIODŁY

„Złote Jabłko". „Napewno Pani nie jest mężatką, lecz młodą, przystojną damą o filuternych oczach i o ciemno — blond włosach — czyż nie tak?"

Nie, Drogi Panie! Wyobrażenia Pana o mnie w dużej części zawiodły Pana. Nie jestem ani blondynką, ani nie posiadam filuternych oczu — jestem... tu muszę jednak urwać ze względu na zachowanie mego incognita. A może domyśli się Pan sam reszty prawdy?

Co do nadesłanych wierszy, przyznać muszę, że rymy Pana są coraz to lepsze, ale daleko im jeszcze do „doskonałości". Praca nad sobą i wytrwałość Pana, mogą jednak w dużej mierze przyczynić się do udoskonalenia, a przedewszystkiem do wygładzenia surowego narazie talentu. Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy sympatji.

PISZ DO MNIE JAK NAJCZĘŚCIEJ

„Złotowłosa Haluś". Serdecznie dziękuję za fiołki. Nie wiem, Halusiu", co natchnęło Cię do tego, aby mi właśnie przysłać fiołki — kwiaty szczególnie dla Ciebie symboliczne. A teraz dlaczego? Wytłumaczę Ci to, Haluniu, bardzo prosto, no i trochę poetycznie:

Zapewnie widziałaś nieraz w szarym zakątku ogrodu rosnące fiołki? Kwiatki te rosły ukryte często pośród wysokich traw, a nawet wśród pokrzyw i chwastów. Pomimo to jednak nic nie straciły na swym uroku i od czasu do czasu ktoś z uśmiechem szczęścia pochylał się nad nimi i zabierał je ze sobą, jakby największy skarb. Fiołki, drobne, skromniutkie kwiatki wydały mu się przecudnemi wśród chwastów i pokrzyw. Tak samo jest i z Tobą, „Haluś". Żyjesz dobra i skromna, wśród złej atmosfery i znosisz z poddaniem narzucony Ci przez życie los. Kochając ogromnie matkę, nie masz sił porzucić przykrego otoczenia, w którym się obracasz, lecz dla matki żyjesz i cierpisz.

Dziecko Kochane! Życie nie daje tylko same przykrości i łzy, ale także uśmiecha się do ludzi. Bądź więc pełna nadziei i ufności w przyszłość. Wierz mocno, Dziewczynko, że przyjdzie ktoś dobry i tak, jak po skromny, miły fiołek schyli się po Ciebie i wyrwie Cię ze złego otoczenia. Skończy się wówczas zła niedola, a rozpocznie dola radosna. Uśmiechnie się życie do Ciebie, „Halusiu". Za wszystkie łzy, bóle i goryczy taki jeden uśmiech, wtedy Ci wystarczy. Taki uśmiech powetuje Ci wszystko! Bądź więc dzielną i pełną dobrych myśli. Pisz do mnie jak najczęściej i z całem zaufaniem, jak do kogoś bliskiego i życzliwego, a nie zawiedziesz się. Czy dobrze, Halu?

Na zakończenie zamieszczam kilka słów z listu „Złotowłosej Haluś:

„Hallo! „Smutny Edku"! Dlaczego nie dajesz odpowiedzi na mój list? Proszę Cię bardzo o zwrot fotografji.

„Tereniu z pod Wrześni"! Może skreślisz do mnie kilka słów, gdyż i ja mieszkałam kiedyś we Wrześni".

„Spragnione Serce" może skreślić do mnie kilka słów? Lubię tak samo szczerość i posiadam te same zalety. Wszystkim „Siostrzyczkom" i „Braciszkom" przesyłam śliczny i miły uśmiech.

KTO SPRAWI RADOŚĆ?

„Bolek z Bydgoszczy". W pierwszym rzędzie dziękuje Panu za słowa uznania, nadesłane pod moim i „Moich Powieści" adresem, a następnie zamieszczam część listu Pana, która wystarczy najzupełniej za mój apel.

„Jestem blondynem o niebieskich oczach, średniego wzrostu. Lubię wszystko co piękne: muzykę, śpiew i kino. Jestem zawsze wesoły. Przepadam za wsią, która w obecnej porze wygląda czarująco. Lubię przebywać wśród pól, łąk, lasów i wód, patrzeć na uśmiechnięte słonkiem niebo i słuchać pięknych, ptasich melodyj. Lubię wieczorem, zaszyć się w ogrodzie w zieleń i marzyć o kimś nieznanym i dobrym.

Może ktoś z „Krainy" zechce mi sprawić radość i do mnie napisać? Na odpowiedź nie będzie długo czekał. Zasyłam pozdrowienia: „Dziewczęciu Stepów" — „Wesołej Andziulce" — „Marysieńce" oraz „Blondynkowi w mundurze". A może „Bydgoszczanin" napisze do mnie parę słów — jestem również Bydgoszczaninem"?

PISUJ MI WSZYSTKO I O WSZYSTKIEM

„Czarnulka ze Świecia". Kochana Dziewczynko! Takie liściki, jak Twój ostatni, to największa zapłata za moją pracę. Cieszę się bardzo, bardzo, że słowa moje nie poszły na marne, lecz trafiły do Twojej duszy. Piszesz mi, że czujesz się już lepiej, że posłuchałaś mnie i wzięłaś rozbrat z tem, co Ci ciężyło okropnie i obecnie uśmiechasz się radośnie. Oby Ci tego Twego uśmiechu nic nie zgasiło i nic nie przytłumiło — życzę jak najszczerzej. Bądź radośćią i pisuj do mnie często. Wszystko i o wszystkiem! Nie znudzę się nawet najdłuższym listem. Chyba mi wierzysz, „Czarnulko"?

A teraz składam w Twojem imieniu uznanie za śliczne wierszyki: Jadźce z Kujaw, — „Manoli" — „Białej Uajali" — „Ord - Omowi" i p. Mieczysławowi Grzegorskiemu. Serdeczne pozdrowienia zaś: „Te - Em" — „Parysowi II" — „Ben Alemu" — „Synowi Morza" — „Wilkowi Morskiemu" i „Marzycielskiemu Brunetowi".

O SZCZĘŚCIU...

„Zefi". Bardzo Miła i Kochana! Życie ludzkie jest i smutne i ciężkie, to prawda. I prawdą jest też, że niektórzy ludzie od kolebki dźwigają brzemię przeróżnych trosk i kłopotów. Barki ich uginają się od tego ciężaru, a serce ich przepełnione jest łzami i szlochem. Ludzie ci czasami buntują się przeciw życiu: „Czyż w życiu nas już nic nie czeka, prócz ciągłych zawodów? Czyż każdą jaśniejszą chwilę mamy opłacać łzami i bólem serdecznym?"

Tak mówią Ci smutni ludzie, podobnie, jak to i Ty, Droga „Zefi", powiedziałaś w swym liście do mnie. Jesteś tylko człowiekiem i dlatego właśnie to, co przykre, boli Cię i smuci, ale spójrz, Kochana ,dalej, poza siebie, ponad to, co przyziemne i szare. Zobacz, czy nie masz czasem do zrobienia czegoś takiego, co byłoby dla Ciebie radością i szczęściem.

Czy wiesz, Najdroższa, że w dalekich błotach poleskich, na wschodnich rubieżach Polski i hen, w gorącej Afryce, w szeregach Legji Cudzoziemskiej, żyją Polacy, pozbawieni najzupełniej tego, co kulturalne, tego, co mogłoby ich podnieść na duchu i postawić wyżej umysłowo? Rodacy ci czekają na tych, co czują się w życiu „niepotrzebni". O, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo potrzebną jesteś ludziom tym, „Zefi". Za jeden odruch serdeczny, za małe zainteresowanie się nimi, ludzei Ci będą Cię błogosławić i zobaczysz ile wniosą w serce Twoje szczęścia. Wyciągnij więc po nie rękę...

A szczęście osobiste, szczęście stałe, do którego masz duże prawo?... I ono przyjdzie, nie trać tylko nadziei. Życie jest jeszcze długie przed Tobą, a świat szeroki. Napotkasz więc jeszcze szczęście na swojej drodze.

Nie wiem, jakie słowa moje sprawią na Tobie wrażenie, pragnęłabym jednak, aby Ci przemówiły do serca. Napisałam je jak najprościej i tak Ci je przesyłam. Bywaj! — i pisz do mnie jak najczęściej.

ODEBRAŁAM

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy". Pocztówkę odebrałam — dotrzymała Pani swego przyrzeczenia. Dziękuję za wiadomości, chociaż „niepomyślne" i serdecznie Panią pozdrawiam.

TĘSKNOTA ZA DOBROCIĄ I CIEPŁEM LUDZKIEGO SERCA

„Stara Panna". Droga Pani! Przykro mi niezmiernie, że listy Pani nie doszły do moich rąk. Winę w tem ponosi prawdopodobnie poczta, albo też w grę wchodzi jakiś inny niewytłumaczony powód. Może zresztą sprawa ta się jeszcze wyjaśni — miejmy nadzieję!

Ostatni list Pani odebrałam. Lwią jego część oddaję do przedruku. Życzę Pani gorąco odebrania jak największej ilości miłych listów!

„Jestem starą panną, nauczycielką, wysoką, ciemnooką, podobno przystojną. Kocham bardzo dzieci. Zawodowi swojemu oddaję się całą duszą.

Wcześnie zostałam sierotą. Najpiękniejsze swe młode lata poświęciłam starszemu od siebie rodzeństwu, gdyż wojna i choroby trapiły je. Nie korzystałam z praw młodości. Właściwie przeszłość moja — to wspinanie się po wąskiej i ciernistej drodze wzwyż — ku ideałom i podciąganie wzwyż innych, młodych duszyczek. Jednak jak to trudno... bo ludzie są tylko ludźmi. Wiele miałam rozczarowań i bólu, widząc iż to, co brałam już za brylanty, okazało się tylko marnemi szkiełkami. Jednak nie ugięłam się pod ciężarem ciosów. Przechodzę przez życie zwycięsko, nie uroniwszy nic z godności człowieka. Tylko szarpie mię nieraz tęsknota, za odrobiną szczęścia, którego w życiu swem nie zaznałam. Staram się zwalczyć tę tęsknotę mówiąc sobie: zapóźno! Lecz głupiutkie serce nie chce usłuchać.

Chociaż praca i walki wewnętrzne wyżłobiły już na mem obliczu ślady, jednak czuję się takiem ufnem pełnem wiary dzieciakiem. Skąd mi się to bierze? Pomimo cierpień i zawodów zostałam optymistką, kocham prawdę i wszystko co dobre i piękne. Wierzę w zwycięstwo dobra i sprawiedliwość Bożą. Jestem pełną ciszy i pogody. Brak mi tylko bardzo czyjegoś dobrego szlachetnego serca. Apeluję więc do „Krainy": Kto ze starszych Siostrzyczek lub Braciszków z „Krainy" zechciałby napisać do starej panny, bardzo samotnej, skromnej i cichej, pełnej pogody, której nie brak nic — prócz odrobiny ciepłoty ludzkiego, szlachetnego serca? Czy znajdzie się ktoś taki? Oczekuję! Łączę serdeczne pozdrowienie dla całej „Rodzinki".

MOŻE ZABŁYŚNIE NAJPROMIENNIEJSZA GWIAZDKA?

„Czarny Saturn". Wierszyk szlachetny w ujęciu, ale pozatem posiada wiele niedociągnięć. Do druku absolutnie się nie nadaje.

W szeregi Sympatyków „Krainy" zapisuję Pana jak najchętniej. Może wśród setek jasnych gwiazdek, które goszczą w „Krainie", zobaczy Pan gwiazdkę najpromienniejszą, swoją Niech tylko Pan będzie dobrym obserwatorem, a życzenie spełni się niechybnie.

„Post - scriptum" „Czarnego Saturna": „Zasyłam pozdrowienia „Manoli" — „Dalecie" — „Lilce" — „Małej Gejszy" — „Wierze" i „Oleńce", prosząc, aby zechciały łaskawie zwrócić swoje spojrzenia na mnie i choć dwa słówka do mnie napisać. Odpowiedź murowana! „Dalettę" proszę o podanie mi adresu, gdyż również jestem Pomorzakiem i chętnie Panią tą poszukam, choćby pod ziemią. Dla wszystkich Sympatyków załączam życzenia zdobycia w życiu dużo szczęścia i słodyczy.

NAWIĄZANIE SZCZEREJ PRZYJAŹNI

„Marjan". Listy wysłałam. Do „Krainy" przyjmuję Pana z miłą chęcią. Apel zamieszczam:

„Pragnę nawiązać nić szczerej przyjaźni z miłą i inteligentną Czytelniczką „Moich Powieści", która dotąd z nikim nie korespondują, względnie nie otrzymała na apel w „Krainie" żadnego listu. Do listu proszę dołączyć adres. Całej „Rodzince" zasyłam pozdrowienia".

NIE MARTW SIĘ I ZBYTNIO NIE TĘSKNIJ!

„Dziewczę z Kujaw“. Kochana Dziewczynko Mam wrażenie, że tylko pierwsze dni w obcem środowisku są dla Ciebie przykre i ciężkie. Później będzie już wszystko dobrze. Przyzwyczaisz się do nowego otoczenia i tęsknota za rodzinnemi stronami minie. To już w naturze ludzkiej leży, że człowiek po pewnym czasie zżywa się z obcemi osobami i przywiązuje się do nich. Nie martw się więc i zbytnio nie tęsknij! Ile zaś razy będziesz miała ochotę, „Dziewczynko“, pisz do mnie śmiało. Śmiało również przyjeżdżaj do Żnina. Przyjmę Cię jak najserdeczniej.

Sprawa prenumeraty załatwiona, tylko podaj, proszę, administracji „Moich Powieści“, swój nowy adres, gdyż stary jest już nieaktualny, prawda?

A teraz Twoje komunikaty:

„Mała Konwalijko“, ślę Ci milutkie pozdrowienia. Czy mogę napisać na dawniejszy adres?

„Szarej Dziewczynce“ dziękuję za pozdrowienia. List prześlę później. A może Ty pierwsza do mnie napiszesz?

Hallo! „Zawiszo Czarny“! Chętnie nawiążę z Tobą nić przyjaźni, ale... musisz napisać pierwszy“,

CHCIAŁABYM

„Czarnobrewa Iga“. Śliczny był Twój liścik, Kochana „Igo“! Każde słówko w nim jest wyszeptane czystem, dobrem serduszkiem. Może posiadasz, „Igo“, maleńkie, zbyteczne zdjęcie? O ile tak — nadeślij mi je. Chciałabym bowiem zobaczyć przemiłą dziewczynkę, która potrafi szlachetnie myśleć i pisać długie liściki, rozbrajające prostotą i słodyczą. Czy dobrze, Maleńka?

Dopisek z listu „Czarnobrewnej Igi: „Przesyłam wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści“ milutkie pozdrowienia. Osobne dla „Feli“ — „Emerytki“ — „Smutnej Wandeczki“ — „Smutnej Zochy“ — „Jadwini“ — „Czarnobrewki II.“ i „Daletty“. Pozdrawiam także „Spragnione Serce“ i „Syna Dniestru“. A może któryś z tych Panów odezwie się do mnie? Proszę, bardzo proszę!“

ZAŁATWIŁAM W MYSL ŻYCZEŃ

„Nimfa II.“ Sprawę zmiany adresu załatwiłam w myśl Pani życzeń. Domysły Pani są trafne, gdyż istotnie, osoba, o którą Pani zapytuje, posiada takie imię.

Dziękuję Pani jak najserdeczniej za szalenie miły liścik i niżej zamieszczam Pani apel:

„Hallo! „Wenus z Puszczykowa“! Na poste-restante masz list od Nimfy II. Odpowiedź dałam bardzo późno (za co b. przepraszam), lecz list Twój otrzymałam dopiero przy końcu maja.

Hallo! „Bajka“! Nawiązaniem korespondencji bardzo się cieszę. Proszę, nie zapomnieć o „Nimfie II“.

„MOŻE KTOŚ DO MNIE NAPISZE?“

„Morowy Łobuz“ od dłuższego czasu już czyta „Moje Powieści“, ale dopiero teraz zainteresował się „Krainą“. W liście swym, w krótkich słowach, zawarł swoją charakterystykę. Oto ona:

„Jestem bardzo morowym chłopakiem. Lubię wesołe towarzystwo. Załączam dla wszystkich Sympatyków „Krainy“ wiele pozdrowień, a specjalne dla „Małej Konwalijki“ — „Zawiedzionego Serca“ — „Czarnulki z pod Grudziądza“ i „Leniuszka“. Może ktoś do mnie napisze? proszę bardzo!“

„CZEKAM NA LISTY!“

„Rybak z nad Drwęcy“ to młodzieniec o piwnych oczach i dobrym charakterze, co się zresztą przebija w jego liście:

„Kocham lasy, pola i gwiaździste noce. Nie znoszę fałszu i zawsze mówię każdemu prawdę w oczy. Jestem ogólnie lubiany. W lecie lubię szalenie kąpać się i plażować. Pozdrawiam „Spragnione Serce“. Może Sympatyk ten zechce do mnie napisać? Czekam na listy!“

ZAWÓD

„Zawiedzione Serce“ apeluje: „Hallo! hallo! Tu „Zawiedzione Serce“. Jestem szczupłym szatynem, średniego wzrostu, podobno dość zgrabnym, tylko... bardzo brzydkiem, pomimo, że spotkał mnie w życiu przykry zawód. Kto się mną choć trochę zainteresuje, niech do mnie napisze liścik. Czekam!“

APEL

„Aloha“. Proszę Panią jak najuprzejmiej o szybkie podanie swego adresu, gdyż w redakcji znajduje się dla Pani kilka listów.

Równocześnie zwracam się do Szan. Sympatyków „Krainy“, aby podając pseudonim, podawali także swój dokładny adres, gdyż często z powodu braku adresu, nie możemy przekazywać dalej wpłyniętej korespondencji.

WYSŁAŁAM

„Hermes“. List wysłałam i mam wrażenie, że tym razem otrzyma Pan odpowiedź. Za życzenie dziękuję Panu z głębi serca.

PROSZĘ O ADRES!

„Daisy“. Proszę Panią uprzejmie o podanie adresu, gdyż chciałabym dać Pani odpowiedź listowną, w związku z poruszoną przez Panią sprawą.

CZEKAM NA REZULTAT APELU

„Eros“. Wszystko zrobiłam, co w mej mocy, to znaczy zaapelowałam o podanie adresu osoby ukrywającej się pod szyfrem: W. S. 202. i obecnie czekam na rezultat apelu.

W odpowiedzi na pytanie Pana, dotyczące pewnego adresu, daję Panu odpowiedź negatywną. Co do układu „Moich Powieści“, to pozostaną one takie, jak dotychczas. Cieszę się, że właśnie ten układ przypadł Panu do gustu.

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana M. — Rysię, którą prosi Pan równocześnie o poświęcenie wierszyka, „Tycio — Tyciueieńką“ — Szarą Dziewczynkę“ — „Słodką Psychę“ i „Blondynka z Pałuk“.

CHĘTNIE ZAMIESZCZĘ

„Wandzia z B.“ Prośbę spełniłam. Nadesłany wierszyk, niestety, słaby. Jedno w nim tylko mi się podoba: bardzo dobrze oddany nastrój Pani uczuć. Może Pani spróbuje napisać coś prozą? Może nowelkę, albo krótki feljetonik? Chętnie zamieszczę. Na pożegnanie przesyłam Pani uścisk dłoni.

CZY OTRZYMUJESZ TYGODNIK JUŻ REGULARNIE?

„Ryśka D.“ Należność za prenumeratę „M. Powieści“ w znaczkach — odebrałam. Mam wrażenie, że obecnie jesteś już zadowolona, „Rysiu“? Zapewnie teraz otrzymujesz nasz tygodnik regularnie i nie potrzebujesz go już z swoimi „współpracowniczkami“ wyglądać daremnie? Pa!

NIE OMYLIŁ SIĘ PAN

„Lawrence“. Oprócz pozdrowień, przesyłam Panu jeszcze kilka słów: „Maturę“ — znam bardzo dobrze. Nie omylił się Pan zupełnie, co do osoby porównanej z Anną Mathe... nawet jeżeli chodzi o szczęście.. Najserdeczniej Pana pozdrawiam!

Teczka Wujka Janusza

UŚCISKI, BUZIAKI I POZDROWIENIA...

„Maleńka Dzidzi“. „Kobiecy tytuł“ nietylko nie rozgniewał mnie, ale bardzo miło rozbroił. Jesteś niezrównaną, Marto! Dlaczego mówię Pani: „Marto“? Otóż dlatego, że imię to bardzo lubię i imię to przypomina mi kogoś tak miłego, jak Pani.

Informacji udzielam Pani bardzo chętnie: p. D. W. obchodzi imieniny 26 lipca.

Również chętnie zamieszczam dopisek z Pani listu:

„Bardzo miłym choć nieznanym, dalekim Dziewczynkom: „M — Rysi“ — „Szarej Dziewczynce“ — „Dziewczęciu z Kujaw“ — wiele serdecznych uściśnień... a nawet buziaków. (Czy zgorszyłyście się Miłe Dziecinki? Chyba nie?) Pozatem „Waldemu“ i przemiłemu „Pepi w mundurku“ — moc serdeczności i słoneczny uśmiech, a może miły, duży „Pepi“ napisze do mnie? Ale zaznaczam, że tylko wtedy odzew będzie bardzo mile widziany, o ile masz, Chłopczyku, szczerą i nieprzymuszoną wolę do mnie napisać. Tymczasem — pa!“

DO „ORD-OMA“

Choć dusza nieraz wije Ci się w męce,
na ustach rwą się okrzyki rozpaczy, —
zduś te okrzyki! niech nikt nie zobaczy
Twojego bólu. Śmiej się! — i nic więcej.

Choć grymas cierpienia twarz Ci wykręca,
a piersi szaleńcze rozrywa łkanie,
i choć pragnąłbyś tylko umrzeć — dla nich
dla ludzi — śmiej się tylko! — i nic więcej.

Może sam sobie wydasz się szaleńcem,
który choć cierpi, z cierpień swych się śmieje,
jak błazen cyrkowy, chociaż szaleje
z rozpaczy. Śmiej się jednak! — i nic więcej.

Bo chociaż pragnąłbyś, jak najgoręcej,
współczucia od ludzi dla cierpień duszy —
próżno się trudzisz — innych nie wzruszy
Twój ból. Wyśmieją Cię tylko — nic więcej.

„Wirryt“.

NIE TRACĘ NADZIEI

„Blanka“. Z ostatnio nadesłanych wierszyków nie skorzystam, gdyż zawiódł znowu rytm. Tajemniczy bilecik otrzymałem, ale jeszcze go nie odgadłem, gdyż w takich „subtelnościach“, jak tajemnicze znaki i klucze, mało się orjentuje. Nie tracę jednak nadziei, że powoli dojdę po nitce do kłębka.

I jeszcze jedno p. „Blanko“: proszę bardzo wyzbyć się dotychczasowego krępowania i o ile ochota, pisać do mnie choćby codziennie. Zgoda?!

DALSZA PRACA WSKAZANA, ALE NAD... ORTOGRAFJĄ

„Din — don“. Wiersze Pana tchną — mydłem. O umieszczeniu ich nie może być mowy. Dalsza praca wskazana, ale nad... ortografją. Prosił Pan o jak najostrzejszą krytykę — voila!

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

P. I. K. z D. Do prośby Pani przychylam się jak najuprzejmiej i niżej zamieszczam Pani wierszyk, oczywiście po uproszczeniu w nim rytmu, który nieco szwankował.

Z MARZEŃ

Czasami jasną, księżycową nocą
Siadam przy oknie i marzę,
A nad mą głową gwiazdy migocą
I światła w dali się żarzą.

Czasami głowę wspieram na dłoniach
I myślą w przeszłość powracam,
I myślą marzenia złudne gonię,
Jak gwiazdy złociste raca.

Naprożno jednak roję i marzę —
Iść naprzód bez złudzeń muszę,
Tylko czasami, ot garścią wrażeń
W noc jasną upajam duszę.

Irena Kosicka.

Raj kobiet

Kilka słów o dziecięcych koszulkach



Bielizna dla dzieci nigdy nie wymaga tylu starań, pracy i zachodu, ile bielizna dla starszych, a zwłaszcza bielizna damska. Jednak i tu kilka uwag przyda się mamusiom:

Nasi milusińscy najładniej i najmilej wyglądają w prostych, płóciennych, białych koszulkach, przyozdobionych klockową koronką, haftowaną wstawką lub też najzwyczajniej ząbkami, dzierganemi ręcznie, albo też kupionemi na metry w składzie. Naturalnie mowa powyżej o koszulkach dziennych, bo koszulki nocne, to problem nieco cięższy do rozwiązania.

Tu można zastosować obok odwiecznych, białych płócienek, także i inne materjały, a więc. batysty i opale w pastelowych kolorach, deseniowe kretoniki w lepszym gatunku lub sztuczne jedwabie. Wybór musi być oczywiście uzależniony od gustu, upodobania, no i przede wszystkiem od stanu naszej kasy. Pamiętać bowiem musimy, aby bielizna naszych dzieci była jak najpraktyczniejsze i obliczona na to, że jest sprawiona tylko na pewien czas. Zdarza się bowiem, że dziecko z bielizny wyrasta i nie zdziera jej — nie warto więc w taką bieliznę wkładać dużo pieniędzy i pracy. Ot, niech koszulki naszych chłopaczków i dziewczynek będą jak najskromniejsze, uszyte prosto i miło. Jeżeli mamy trochę czasu wyhaftujemy barwnie koszulkę naszej małej Krysi lub Hanusi, bo to jej sprawi radość i uciechę, ale haft niech będzie prosty i niewyszukany. Aby zaś nie było przykro Jasiowi lub Leszkowi, szyjąc mu nocną białą koszulkę, zróbmy mu z niebieskiej lub lilla popeliny kołnierzyk i mankiety. Całość będzie przedstawiała się bardzo ładnie i miło. Nie zapomnijmy również o monogramach, a dzieciarnia będzie zachwycona i zadowolona.

Białe lub kolorowe, nawet taniutkie koszulki, uszyte ręką matki lub domowej krawcowej, będą dzieciom bardzo się podobały i niewątpliwie prześpią w nich słodko niejedną noc.

Tyle o dziecięcych koszulkach — resztę dopowiedzą nam zamieszczone obok klisze, na których oprócz nocnej i dziennej koszulki, widzimy i inne akcesorja dziecięcej bielizny. Może niejednej mamusi posłużą za modele?

Zamieszczony krzyżykowy wzorek nadaje się na nocną koszulkę tak dla dziewczynki, jak i dla pani. Wzór ten można nabyć w naszej administracji w cenie 0,40 zł.

M. Z.





CZY WIECIE, ŻE...

Największą ilość rowerów posiada Danja.

* * *

Widelec został wprowadzony w użycie w 15-tem stuleciu we Włoszech.

* * *

Kapelusz, t. zw. cylinder wprowadzono w Anglji w 1820 roku.

* * *

Piwo zaczął pierwszy produkować browar Littau w Niemczech w 14-tym wieku.

* * *

Miękki kapelusz filcowy, poraz pierwszy włożył Karol 5-ty we Francji.

* * *

Pierwszą fabryką cygar były zakłady Schoumanna w Hamburgu w 1788 roku.

* * *

Figury i krzyże stawiane w Polsce przy drogach, zaprowadzili Jezuici w 17-tym wieku.

* * *

Pierwszy parowóz zbudował Anglik Stevenson.

* * *

Najdłużej żyjącemi płazami są żółwie.

* * *

W południowych miejscowościach Włoch, zmarłemu do grobu na trumnę wrzucają jego najgorszą własną kapotę. A kobiecie jej własny welon ślubny.

* * *

W Japonji łapią ryby za pomocą ptaków, które puszczają pod wodę.

* * *

Szkaplerz jest pochodzenia arabskiego. Każdy arab nosi szkaplerz na piersiach, a w niem są zaszyte słowa Koranu lub św. ziemia z Mekki.

* * *

Niektóre szczepy murzyńskie w Afryce na znak powitania pocierają nos o nos zamiast podawania sobie rąk.

Ze świata

Persja zna Sienkiewicza

Z Teheranu (Persja) donoszą, iż p. Bronisława Wójcik-Keupruljan, autorka kilku dzieł z zakresu muzykologji, wyszedłszy przed 4 laty za mąż za tureckiego Ormianina p. Keupruljana, zajęła się muzyką ormiańską i przyswoiła sobie trudny język ormiański. Napisała tez książkę o „Ormianach Polskich", wydaną w „Bibjotece Szkoły Powszechnej".

Pracą tą zainteresował się schizmatycki biskup ormiański w Jerozolimie, wydawca miesięcznika „Sijon" i zamieścił w nim przekład „Ormian w Polsce" oraz studjum o muzyce ormiańskiej.

Pozatem p. Wójcik-Keupruljan przełożyła na język ormiański szereg wybitnych dzieł z literatury polskiej, między innemi szereg utworów Henryka Sienkiewicza.

Ukazanie się na rynku księgarskim polskich dzieł wywołało silne zainteresowanie się wśród perskich czytelników.

Tygrys - świetnym pływakiem

Nosorożce, słonie, dziki i jelenie są świetnymi pływakami, ale tygrys okazuje się też nie gorszym, choć mniej zamiłowanym. Na wodach Archipelagu Malajskiego w wielkiej odległości od brzegu spotkano tygrysa przeprawiającego się na inną wyspę w poszukiwaniu zdobyczy.

Kinowe organy ze szkła

Organy kinowe są cudownym wynalazkiem techniki. Są one ogromne, ściany mają ze szkła, tak, że można widzieć całe ich wewnętrzne skomplikowane urządzenie. Organy kinowe są uniwersalnym instrumentem muzycznym, gdyż mogą one zastąpić pełną orkiestrę symfoniczną, mogą naśladować szum morza i ryk burzy, świst wiatru i plusk deszczu, strzały armatnie i głos ludzki. Ale też gra na tych organach jest prawdziwą sztuką.

Wojna z wronami

Mieszkańcy kilku miejscowości w Anglji wnieśli zbiorowe zażalenie przeciwko wronom, domagając się od władz surowych zarządzeń. Okazało się bowiem, że od dłuższego czasu żadna z pań domu nie mogła powiesić bielizny na dworze. Ktoś stale zdejmował szczypczyki, któremi bielizna była przypięta do sznura, a często też bielizna spadała na ziemię... Po dłuższej obserwacji stwierdzono, że czynią to wrony, urządzając sobie z tego zabawkę, która okazała się tak przykra dla pań domu. Władze zostały wprowadzone w duży kłopot, nie wiedząc, co począć z tem zażaleniem.

Ani jednego karanego

Miasto Syhingbourne w hrabstwie Kont jest słynne na cały świat z tego powodu, że od 26 lat tamtejsza policja nie sporządziła ani jednego protokółu. Ani jeden z mieszkańców nie był karany najmniejszą bodaj karą administracyjną, nie mówiąc już o sądowych. Dopiero w ostatnich dniach stał się skandal, który całe miasto postawił na nogi. Z wielką przykrością dowiedzieli się licznie zgromadzeni obywatele, że sława ich została nadszarpnięta. Od tej pory rekord ich przestał istnieć. Jeden z mieszkańców całkiem pospolicie upił się, nawymyślał policji, wobec czego został ukarany grzywną 5 szylingów. Fakt, że kara została wymierzona i po raz pierwszy od roku 1910 wpisany do akt policyjnych — odbił się smutnem echem.

Najwyższy budynek na świecie

Najwyższą wieżą na świecie będzie wieża zbudowana na wystawie sztuki dekoracyjnej międzynarodowej w Paryżu, zapowiedzianej na rok 1937. Wieża ta będzie miała 700 metrów wysokości. Na sam szczyt będzie się można dostać samochodem, sunącym po wygodnych spiralnych autostradach. Na pewnej wysokości będzie hotel, poczta, restauracja, dancing, teatr, kino. Projekt opracowali dwaj francuscy architekci. Budowa stanie na płaskowzgórzu Mendon.

Romantyczna rzeka Amazonka

Największa rzeka amerykańska słusznie nosi swoją romantyczną nazwę Amazonki, nadaną jej w roku 1540 przez Franciszka de Orellana. Stoczył on w owym roku nad brzegami tej rzeki, wówczas zwanej Maranon, walkę z wojskami tubylczemi, składającemi się przeważnie z pięknych i dzielnych kobiet. Na ich to cześć Maranon została „przechrzczona" na Amazonkę.

Zmarła, pozostawiając 90 osób potomstwa

Przed kilku dniami zmarła w gminie Koniuszków (woj. tarnopolskie), w wieku 100 lat Julja Szewc. Zmarła pozostawiła 90 osób potomstwa: dzieci, wnuków, prawnuków i praprawnuków.

Nie każdy może się śmiać

Do śmiechu potrzebny jest specjalny mięsień śmiechowy, którego nie posiadają zwierzęta, nawet najwyższe gatunki małp, a jak stwierdzono ostatnio, posiadają go także nie wszyscy ludzie w jednakowym stopniu. Tak np. u najniżej psychicznie stojących Melanezyjczyków tylko 14 procent ludzi ma ten mięsień, a Australijczyków 17 procent, Hotentotów 29 procent, Polinezyjczyków 13 procent, a u Chińczyków 83 procent. Największą zdolność do śmiechu posiadają ludzie białej rasy.

Sjamskie osobliwości

Bernhard Kellerman w książce swej przełożonej na polski pod tyt. „Droga Bogów", będącej opisem podróży po Indjach, Tybecie i Sjamie, w rozdziale „Na wodach Nenamu" opowiada co następuje:

„Są w Sjamie trzy bardzo oryginalne ryby. Jedna wychodzi z wody i spaceruje na pletwach po wybrzeżu, od jednego pola ryżowego do drugiego, tak, że ku najwyższemu swemu zdumieniu odkrywa się czasem ryby dwóch zieleni pól. Druga ryba jest niesłychanie zaczepna i wojownicza. Gdy dwóch takich rybich zabijaków wsadzić do jednego naczynia miotają się z wściekłości i zaczynają z sobą walkę na śmierć i życie, dopóki jeden z nich nie padnie. A Sjamczycy robią przytem zakłady, która zwycięży, podobnie, jak podczas walk żuków-jelonków.

Lecz najoryginalniejszą z ryb sjamskich wydaje mi się mała rybka, która strzela. Czatuje ona w wodzie „gdy tylko komar znajdzie się w jej pobliżu, wyrzuca z pyszczka, celując w niego, kroplę wody, jak z dmuchawki. A ma podobno trafiać z zabójczą pewnością. Komar spada do wody i zostaje połknięty. Lecz jak wogóle wszędzie, tak i między rybami hołoty nie brak. Tego rybiego strzelca otaczają próżniacze pasorzyty, które czekają aż trąci on muchę, aby mu upolowaną zdobycz jego porywać z przed nosa".

Latający wąż

Latający wąż jest najosobliwszą odmianą tej gromady zwierząt. Odznacza się charakterystyczną cechą polegającą na tem, że potrafi się rozpłaszczvć i jak liść przelatywać między jednem, a drugiem drzewem. Gdy ma zamiar lecieć, wówczas rozpościera swe żebra, podobnie, jak to czyni okularnik, gdy poirytowany nadyma swój kaptur. Gdy latający wąż chce się pionowo opuścić z drzewa na ziemię, wówczas spływa on w ruchach spiralnych, zupełnie jak uwiędły liść. Przedsiębrano próby zadomowienia tych wężów w okolicach północnych, próby te jednak zawiodły. Naukowa nazwa latającego węża brzmi: chrysopelea ornata.

Modlitwa

(Opowiadanie z czasów obcej szkoły)

Wirska, przybierając najuprzejmiejszy wyraz twarzy, łamanym rosyjskim językiem zapytała nauczycielkę swej córki dwunastoletniej Heli.

— Wiero Pawłówno, czy Pani ma nadzieję, że tym razem Hela zda ten egzamin?

— Zdać powinna — rzekła — kurs umie doskonale, wszak już drugi rok powtarzamy wszystko od początku. Lękam się tylko trochę o pisownię, gdyż Hela, znając tak wybornie prawidła z taką trudnością zastosowuje je w dyktandzie.

Wirska westchnęła ciężko i położyła przed nauczycielką dwudziestopięciorublowy papierek.

Wiera Pawłowna niedbale wsunęła pieniądze do woreczka i, nie zwracając uwagi na obecność matki, zadawała uczennicy szereg pytań z rosyjskiej gramatyki. Hela odpowiadała pewnie i śmiało. Wirska wsłuchiwała się w głos dziecka, a choć niezupełnie dokładnie rozumiała, była jednak zadowolona że córka tak swobodnie i płynnie wyraża się po rosyjsku.

W zeszłym roku nauczycielką Heli była zacna pani Marja Chmielewska, doskonała i rutynowana nauczycielka, która za dwanaście rubli miesięcznie poświęcała jej dwie godziny dziennie.

Hela serdecznie lubiła p. Marję, gdyż umiała ona urozmaicić lekcję „czasem opowiedzieć coś wesołego, innym znów razem podzielić się z uczennicą jakąś przystępną dla niej wiadomością z dalekiego świata, słowem, nauczyła pojętną zresztą Helę czuć i myśleć.

Niestety, wynik egzaminu był fatalny: Hela przy wszystkich dobrych i dostatecznych stopniach otrzymała dwójkę z rosyjskiego i nie mogła być przyjęta do miejscowego gimnazjum.

Był to prawdziwy cios dla rodziny Wirskich. Wprawdzie w mieście był jeszcze drugi zakład naukowy żeński prywatny, lecz wpisowe było tam znacznie większe, a szkoła nie dawała praw rządowych.

Wtedy to, za radą inspektora gimnazjum Wirska zwróciła się do obecnej nauczycielki Wiery Pawłowej, która za półtorej godziny zarządała 25 rubli miesięcznie.

Choć suma ta stanowiła poważną pozycję w skromnym budżecie, Wirska po naradzie z mężem zgodziła się na żądane warunki, licząc na to, że nauczycielka, rodowita Rosjanka, lepiej wywiąże się ze swego zadania.

Stosunek młodej panny do dziecka był bardzo chłodny: Hela dygała przed nauczycielką na przywitanie i pożegnanie i grzecznie podawała jej okrycie w przedpokoju nigdy jednak nie mówiła o nowej nauczycielce, uważała tylko tę zmianę za zupełnie właściwą i nawet potrzebną.

Na dnie swej małej duszy zamknęła Hela jedno gorące pragnienie, całe marzenie swego młodzitnkiego życia... Chciała w przyszłości zostać lekarką.

Hela była najstarszą córką Stefana Wirskiego referenta w powiecie. Zarobek ojca wystarczał zaledwie na skromne utrzymanie, tem więcej, że rodzina była liczna. Przed rokiem zmarł na dyfteryt jej braciszek, pięcioletni Kazio. Hela do końca życia nie zapomni, jak biedaczek cierpiał przed zgonem; widzi jakby to dziś było, woskową twarzyczkę małego męczennika, jego biedne, rzadkie, płowe włoski, przylepione do okrytego potem żółtego czółka i takie straszne rozszerzone oczy.

Wtedy Hela przysięgła sobie, że gdy dorośnie zostanie lekarką i wiedzą swą zacznie wyrywać śmierci biedne, cierpiące dzieci.

Hela jest nad wiek poważna i rozwinięta. Małomówna, cicha na pozór, zamyka w swem wrażliwem serduszku tak wiele współczucia i zrozumienia ciężkiego życia swych rodziców.

Czuję już teraz na sobie wielką odpowiedzialność za ich troski i całą swą przyszłość im i młodszemu rodzeństwu poświęcić pragnie.

Tymczasem zaś kuje do zapamiętania różne prawidła i wyjątki gramatyki rosyjskiej, gdyż dostanie się do gimnazjum, to pierwszy szczebel na drabinie jej najgorętszych pragnień. Ten zaś egzamin ostatecznie zawyrokuje o jej losie, gdyż Hela ma dwanaście lat skończonych i po raz drugi do drugiej klasy już zdawać nie będzie jej wolno.

Chwilami wydaje się dziewczynce, że wszystko doskonale umie, ma głowę przepełnioną różnemi balladami i baśniami Puszkina i Kryłowa, umie prawie na pamięć cały podręcznik gramatyki, a gdy Wiera Pawłowna podda jej pierwsze słowa, Hela recytuje całe stronnice z rosyjskiej „chwestomatji".

Hela sypia na kanapie w saloniku, gdzie zwykle odrabia lekcje. Któregoś wieczoru, gdy klękała do pacierza, a ręką kreśliła znak krzyża świętego, z umęczonych jej słów popłynęły słowa: „woźlie, nymie, podlie, poślie"... dziewczynka nagle spostrzegła się i roześmiała sama z siebie, lecz z trudem zdołała zmówić słowa modlitwy, tak głowę miała przeładowaną nauką obcego, niezrozumiałego języka.

A na świecie promienna i wonna, cała w blaskach złocie i zieleni budziła się wiosna.

Hela była tak przejęta zbliżającemi się egzaminami że prawie zupełnie nie wychodziła z domu. Matka stopniowo usuwała ją od wszelkich domowych zajęć, by zostawić córce czas do nauki.

W wigilję egzaminu Hela prosiła matkę o pozwolenie pójścia na majowe nabożeństwo. Ponieważ kościół był bardzo blisko, więc dziewczynka udała się tam sama. Uklękła w kąciku niedaleko wielkiego ołtarza i cała zatopiła się w modlitwie. Stopniowo zwykle słowa książkowych modłów uleciały z ust; utkwiła spojrzenie w obliczе ukrzyżowanego Chrystusa, gardło jej ścisnął jakiś szloch, i z popłynęły z oczów, a cała jej mała duszyczka ukorzyła się przed Boskim Majestatem w jednej błagalnej prośbie, by Bóg oświecił jej umysł i pozwolił zdać pomyślnie egzamin.

Długo klęczała mała Hela... Zimno od kamiennej posadzki przez cienkie pończochy przenikło jej wątłe ciało, złożone pobożnie dłonie zdrętwiały od bezruchu. Wreszcie opuściła kościół.

Trzydniowe egzaminy minęły, a czwartego dnia popołudniu matka poszła dowiedzieć się o rezultacie.

Hela wieki przeżywała podczas nieobecności matki. Wtuliła się w kącik kanapy i siedziała bez ruchu. Bała się wyjrzeć przez okno, by już zdaleka po wyrazie twarzy matki nie wyczytać swego wyroku. Czas wlókł się nieskończenie... Nareszcie Hela usłyszała kroki matki... ogarnął ją niewypowiedziany lęk. Drzwi otworzyły się cicho... Na progu stanęła Wirska. Twarz jej była smutna, dziwnie poważna i zacięta. Spojrzała na siedzącą nieruchomo dziewczynkę i łagodnie, cicho rzekła:

— Nie udało ci się, moje biedne dziecko!

Hela nie słyszała nic więcej; zastygła w jakiejś dziwnej obojętnej rozpaczy; z oczu jej nie popłynęła ani jedna łza.

Za chwilę do domu powrócił ojciec. Heli stopniowo powracała świadomość i z kącika swego słyszała głos matki:

— To oburzające, to podle! Dziewczyna zdała ze wszystkiego na same piątki i czwórki, a z dyktanda rosyjskiego postawili jej dwójkę. Gdy zapytałam inspektora, czego uczyć ją będą podczas siedmiu lat jeżeli już teraz musi pisać bez błędu, siedzący w kancelarji pop rzucił mi wyniośle: „Tu nie miejsce na dyskusje"! Zapomina pani, że to rosyjskie gimnazjum, więc dzieci obcokrajowców muszą pisać ortograficznie po rosyjsku, jeżeli chcą się tu dostać". Biedne dziecko, nawet wymówki zrobić jej nie można, sam widziałeś, że robiła co mogła. Trudno, weźmiemy znów do niej po wakacjach pannę Marję, niech tymczasem uczy się w domu, a potem pomyślimy jaki jej dać sposób zarobkowania.

— Łotry... rusyfikatory... — dochodziły do Heli wyraźne słowa ojca.

Zawołana przez matkę Hela cicho weszła do stołowego pokoju i zajęła swe zwykłe miejsce. Główkę opuściła na piersi i nerwowo mieszała łyżeczką niesłodzoną jeszcze herbatę. Czuła na sobie wzrok rodziców, lecz nie chciała spojrzeć im w oczy, bo zdawało jej się, że nagle padnie im do nóg, wybuchnie płaczem, wyrzuci z siebie ten pierwszy straszny, bolesny zawód. Nie mogąc dłużej panować nad sobą, zerwała się od stołu i wybiegła do saloniku...

Gdy młodsze dzieci zasnęły, a dom zaległa cisza do ciemnego saloniku wsunęli się oboje Wirscy, Zbliżyli się do Heli i długo i czule tulili i całowali jej biedną rozpaloną główkę.

Hala biernie poddawała się ich pieszczotom. Chwilami zdawało jej się, że wolałaby, żeby rodzice robili jej ostre wymówki, łajali, karcili, gdy tymczasem ten ich smutek i wielka dobroć jeszcze więcej ją bolały i rozdrażniały.

Nareszcie wyczerpana wrażeniem dnia, poczuła się tak zmęczona, że ogarnęła ją nagła potrzeba spoczynku. Zbliżyła się do zasłanej już na noc kanapy i codziennym zwyczajem osunęła się na kolana. Prawa ręka jej wykonała znak krzyża świętego, a usta szeptać zaczęły słowa modlitwy.

— Ojcze nasz... — nagle słowa zamarły na wargach dziecka, podniosła główkę, zacięła usta na całej jej twarzyczce odbił się taki wyraz żalu i buntu, że słowa modlitwy wyjść nie mogły z zacińsiętego gardła, piersi rozpierał dotkliwy ból, czuła, że wraz z zburzonym gmachem jej najprostszych marzeń, kruszy się w jej duszy ufna, dziecinna wiara w najwyższą dobroć i sprawiedliwość.

Podniosła się z klęczek, zaczęła wolno rozbierać się, a po chwili, główka jej wtuliła się w poduszkę i długo powstrzymywane łzy obficie polały jej się z oczów.

A. G.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 93)

Głowa Kazimierza opadła na poduszki. Od jego oblicza biła łuna radości, a bożek snu ukołysał go do uroczych marzeń, w którym zobaczył ślubny wieniec i posłyszał odgłos dzwonów.

W tej chwili odezwał się dzwonek hotelowy, w który uderzono zawsze, gdy nadjechał obcy gość. Przed bramą hotelu „Kaiserhof“ zatrzymała się dorożka, z której wysiadł poważnie wyglądający mężczyzna.

Zarządca przyjął nowego gościa i poprosił go do kancelarji, celem wypełnienia meldunkowej karty.

„Hrabia Zygmunt Sokolski, — w przejeździe.“

„Zaprowadź pana hrabiego pod numer 14“, zawołał zarządca na kelnera.

Hrabia Zygmunt wyjął zegarek i spojrzał, która godzina.

„Oczekuję jednego pana,“ rzekł po chwili do zarządcy. „Jeżeli zapyta o mnie, to proszę mu wskazać mój pokój. Poślij mi pan także butelkę szampana.“

„Do usług, panie hrabio!“

Hrabia Zygmunt nie długo pozostał sam w pokoju. Zaledwie się obmył i oczyścił z kurzu, gdy wszedł kelner i podał mu kartkę wizytową.

„Oczekuję,“ zawołał hrabia; w pół minuty później wszedł do salonu wysoki, porządnie ubrany mężczyzna. Ukłonił się przed hrabią i rzekł:

„Edwin Lister z Paryża. — Jak pan hrabia widzi, jestem punktualny na minutę. Przyjechałem do Berlina i czekam na pańskie rozkazy.“

„Cieszę się nadzwyczajnie, że mam honor poznać szanownego pana!“ odparł Zygmunt; „proszę niech pan siada. Przy kieliszku szampana opowiem panu całą sprawę, z powodu której zawezwałem pana z Paryża. Chwalono mi pańską zręczność. Lecz głównie dlatego wybrałem pana, ponieważ pan zna dokładnie wszystkie osoby, o które się właśnie rozchodzi!“

„Tak jest, panie hrabio,“ odparł Lister. Zdaje się, że chce mi pan polecić odszukanie zięcia, — hrabiego Kazimierza Zamskiego?

„Skąd się pan o tem dowiedział?“ zawołał zdumiony hrabia.

„Panie hrabio! my wszyscy wiemy! Nie jesteśmy naturalnie czarownikami. Cała sprawa jest nadzwyczaj prosta. Uważałem zawsze na pańskiego zięcia i znam mniej więcej wszystkie zajścia w rodzinie pana hrabiego.

„Jakto, wiadomo także panu, że nas spotkało wielkie nieszczęście?“

„Tak jest!“ odparł Lister, pijąc duszkiem kieliszek szampana, „wiem, że jedna awanturnica oszukiwała długo pana. Najpierw wydała się za córkę, a później została żoną hrabiego Kazimierza Zamskiego. Owa osoba znikła bez śladu ze zamku Sokolskich. Następnie pański zięć pojechał celem odszukania prawdziwej córki. W tym celu udał się do Ameryki!“

„Słusznie, panie Lister! Przed czteroma miesiącami odjechał Kazimierz do Ameryki. Otrzymaliśmy od niego kilka listów nadanych w Nowym Jorku i wreszcie depeszę, która nas najwięcej ucieszyła.“

„Jak dawno otrzymał pan hrabia ową depeszę?“ zapytał detektyw.

„Dzisiaj mamy 17 września,“ rzekł hrabia; „depesza została nadana w Nowym Jorku 11 czerwca o godzinie drugiej popołudniu.“

„Była to ostatnia wiadomość, którą posłał panu młody hrabia?“

„Ostatnia!“ odparł Zygmunt z głębokiem westchnieniem. „Od tego czasu nie otrzymałem od Kazimierza żadnej wiadomości. Pisałem do Ameryki i zwróciłem się do niemieckiego konsulatu, który w mojem imieniu poczynił różne kroki. Niestety niewiadomo, co się stało z Kazimierzem. Przypuszczam, że może zachorował, — byle tylko nie spotkało go coś gorszego.“

„Nie, panie hrabio!“ rzekł detektyw, uśmiechając się nieznacznie, „mogę panu dać dokładne wiadomości o Kazimierzu Zamskim, — wiadomości, które dostałem z dobrego źródła.“

„Czyż to możliwe,“ zawołał hrabia Zygmunt, „to wprost nie do uwierzenia! Pan wiesz więcej odemnie? Przypuszczam jednak, że się pan posługuje pewnemi wiadomościami.“

„Nie zwykłem mówić o rzeczach, które później mogłyby się okazać kłamstwem,“ odparł Lister. „Proszę o chwilkę cierpliwości!“

W tej chwili ktoś zapukał; Zygmunt otworzył drzwi i zobaczył przed sobą zarządcę hotelu.

„Panie hrabio, proszę o przebaczenie,“ rzekł cichym głosem, „przychodzę jednak z prośbą do pana. W sąsiednim pokoju znajduje się ciężko chory gość, który stracił swój wzrok. Żona tego pana prosi, byście panowie byli łaskawi nie rozmawiać tak głośno. Wprawdzie przez ściany nie można słyszeć pojedyńczych słów, lecz zawsze przedostaje się rodzaj szmeru, który może przeszkadzać ociemniałemu wśnie.“

Hrabia Zygmunt, jako dobrze wychowany człowiek, nie obraził się wcale tem napomnieniem i odpowiedział:

„Proszę oddać tej damie moje ukłony i zapewnić ją, że jeżeli głośno rozmawiałem, to nie zrobiłem tego wcale z rozmysłem. Będziemy uważać na nasze sąsiedztwo i prowadzić po cichu dalszą rozmowę.“

Zarządca podziękował i wyszedł na korytarz.

„Pan hrabia jest prawdziwym dżentelmanem,“ zawołał otwarcie Lister, „inny na pańskiem miejscu nie pozwoliłby sobie na taką uwagę!“

„Dlaczego? Zresztą proszę rozważyć, panie Lister, — za ścianą śpi ociemniały człowiek! Takie nieszczęście zasługuje na wzgląd. Nie znam go wprawdzie, lecz czuję do niego żywą sympatję.“

Tak, gdyby hrabia Zygmunt Sokolski był wiedział, kto tam leżał za ścianą! Niestety, ludzki los ukrywa to, co leży przed nami i każe nam patrzeć w dal, zamiast w najbliższe otoczenie.

„Mówmy dalej,“ przemówił cicho Zygmunt i usiadł na fotelu obok stołu, na którym stały kieliszki, napełnione szampanem. „Może pan rzeczywiście powiedzieć mi, gdzie się znajduje Kazimierz?“

Detektyw wyjął mały notes i przerzucił w nim kilka kartek.

„Moje wiadomości, dotyczące młodego hrabiego, sięgają poza 11 czerwca bieżącego roku. Dowiedziałem się, że hrabia Kazimierz Zamski opuścił hotel Lincoln w Nowym Jorku w towarzystwie służącego i udał się koleją Pacific do St. Louis. W tem mieście, — nie wiem z jakiego powodu, — przerwał podróż i zamieszkał w jednym z hoteli przez kilka dni. Następnie wyjechał najbliższym pociągiem na zachód. Niebawem wydarzyło się jednak na torze kolei Pacific, w pobliżu Santa Fee, straszne nieszczęście.“

„Co takiego?“ zapytał niespokojnie Zygmunt, „czyżby Kazimierz, — święty Boże, tylko to nie, — znalazł śmierć przy tem nieszczęściu?“

„Panie hrabio, proszę o cierpliwość; opowiem wszystko w chronologicznym porządku. W pobliżu Santa Fee wyleciał w powietrze kurjerski pociąg z niewiadomych dotychczas powodów. Wszyscy pasażerowie i cała służba stracili życie, — z wyjątkiem jednego!“

„Kto taki?“ odparł Zygmunt.

„Hrabia Kazimierz Zamski!“ rzekł Lister ze spokojem przewodnika, który wylicza suche daty.

Hrabia Zygmunt nie mógł opanować swojego wzruszenia. Zerwał się z fotelu i tylko z trudem stłumił bolesny okrzyk, który mu chciał rozsadzić piersi.

„Biedny Kazimierzu“ zawołał, składając ręce, „jakie straszne nieszczęście spotkało cię w dalekiej Ameryce. —



Dotychczas przyczepka rowerowa mieściła się zawsze z tyłu, ostatnio zaś skonstruowano model roweru, u którego przyczepka znajduje się obok, jak to widzimy na zdjęciu. Model ten ukazał się poraz pierwszy na zjeździe związku cyklistów w Londynie.

wi, powinien był o tem napisać! Jeżeli mógł układać się z koleją Pacific o odszkodowanie, to tem bardziej nie byłoby mu przyszło trudno napisać do mnie kilka słów!“

„To jest rzeczywiście niepojęte!“ odparł Lister, „czy pan nie otrzymał żadnego listu?“

„Nie.“

„W takim razie musimy przypuścić, że list zaginął, chociaż poczta między Ameryką a Europą nie pozostawia nic do życzenia. Zdarza się rzadko, by jaki list zaginął. Lecz jeszcze bardziej się dziwię, że hrabia nie przyjechał do zamku Sokolskich.“

„Jak to pan rozumie?“ zapytał Zygmunt, „na czem opiera pan to mniemanie?“

„Na pewnym fakcie; hrabia Kazimierz Zamski opuścił Amerykę i powrócił do Europy!“

„W jaki sposób się pan o tem dowiedział?“

„Ostatnia wiadomość,“ odparł detektyw, rzucając wzrokiem do swojego notesu, „donosi, że hrabia Kazimierz Zamski po katastrofie zatrzymał się we Philadelfi i wynajął mieszkanie przy ósmej ulicy. Proszę uważać; teraz przychodzi ciekawy punkt. Doniesiono mi, że młody hrabia opuścił port w Nowym Jorku, razem ze swoją żoną, na okręcie, idącym do Europy!“

Zygmunt oniemiał. Przez kilka minut nie mógł wymówić ani słowa; wreszcie opanował się i rzekł niepewnym głosem:

„Ze swoją żoną? Ta wiadomość jest stanowczo mylna, gdyż hrabia Kazimierz Zamski nie zawarł nowych związków. Sąd zezwolił już dawno na rozwód z tą awanturnicą. Wątpię bardzo, żeby Kazimierz ożenił się w Ameryce, nie zapytawszy o moją radę. Zresztą niema o tem co mówić! Kazimierz ożeni się wtedy, jeżeli odnajdzie moją córkę, ukochaną Anielcię!“

Detektyw wzruszył ramionami.

„Nie odstąpię ani na cal od tego, co panu powiedziałem,“ rzekł Lister. „Jest niezbitym faktem, że hrabia Kazimierz Zamski zamieszkał we Philadelfi razem z młodą, piękną kobietą, którą uważano ogólnie za jego żonę. — Również i zarząd kolei Pacific doniósł mi, że hrabia Zamski prowadził układy razem ze swoją żoną. Wprawdzie jest to wprost nie do uwierzenia, jednak Kazimierz ożenił się w Ameryce.“

Zygmunt usiadł na fotelu. Ta wiadomość była dla niego nowym ciosem. — Zawsze się spodziewał, że Zamski zostanie jego zięciem. Teraz dowiadywał się, że Kazimierz sprzeniewierzył się Anielci, że inną — — — — nie, to niemożliwe, — nie mógł w to wierzyć, — serce i rozsądek oburzały się przeciwko temu.

A jak to wytłumaczyć, że Kazimierz powrócił do Europy i nie przybył do zamku Sokolskich, celem złożenia sprawozdania ze swojej podróży?

Zygmunt zakrył ręką oczy.

Czyżby stracił jedynego przyjaciela? Może los zgotował mu nowe rozczarowanie? Więc Kazimierz, którego kochał jak syna, lub brata, zdradził go i opuścił podstępnie?



Zdjęcie negusa i jego rodziny, dokonane w Gibraltarze. Od lewej książę Makonnen, dalej następca tronu Asfau Wossen, księżniczka Tsahai, negus, ras Kassa, jeden z wodzów abisyńskich i najbliższych współpracowników negusa.

„Pojmuję, panie hrabio,“ przemówił Lister, „że ta wiadomość, którą panu wyjawiłem, nie jest zbyt przyjemną. Zapewniam jednak pana o wiarogodności źródła. Wszystkie dane przemawiają za tem. Hrabia Kazimierz Zamski bawi obecnie w Europie, i to w towarzystwie damy, która się podaje za jego żonę. Jeżeli pan sobie życzy bliższych szczegółów, to proszę rozporządzać moją osobą. W przeciwnym razie wracam do Paryża i uważam całą sprawę za załatwioną.“

Zygmunt namyślał się. Chodził niespokojnie po pokoju. Nagle zatrzymał się tuż przed detektywem.

„Może mi pan zaręczyć za prawdziwość pańskich wiadomości?“

„Ręczę słowem honoru!“

„Nie zaszła jaka pomyłka?“

„Mojem zdaniem jest to wykluczone! — Trzy razy potwierdzono mi tę wiadomość, że hrabia wyjechał do Europy z żoną.“

„W takim razie nie potrzebuję się troszczyć o dalsze losy Kazimierza,“ zawołał boleśnie hrabia Zygmunt, „przykro mi, żem niepotrzebnie jeździł do Berlina. Jutro opuszczam to miasto i wracam do mojej posiadłości. Pańskie honorarjum przekażę bankowi, który uskuteczni wypłatę. Obecnie nie będę zabierał panu kosztownego czasu. Odbyłeś pan długą podróż, — czas na spoczynek. Dobranoc, panie Lister. Proszę się nie troszczyć o dalsze losy i przygody Kazimierza, przynajmniej nie w mojem imieniu.“

„W takim razie pożegnam pana hrabiego!“ rzekł Lister, podnosząc się z fotelu. „Jeżeliby mnie pan potrzebował, to proszę mi dać znać. Z przyjemnością służę panu do dyspozycji każdego czasu.“

Mężczyźni podali sobie ręce; Lister wyszedł następnie ze salonu, w którym mieszkał Zygmunt.

Hrabia Sokolski otworzył okno i wyjrzał na skąpo oświeconą ulicę.

„Znowu nieszczęście!“ szepnął, „nowe rozczarowanie! — O Kazimierzu, Kazimierzu, nie myślałem nigdy, że się pomylę na tobie. Wyjechałeś po moje zaginione dziecko. W Ameryce spotkałeś inną, której wdzięki opanowały twoje serce. Obrałeś ją i nie miałeś odwagi zawiadomić mnie o tem. Codziennie drżałem o ciebie i modliłem się gorąco do Boga, by cię połączył z Anielcią,

CXLVIII.

„Ostatnia nadzieja nieszczęśliwej“

Było już późno, gdy hrabia Zygmunt zamknął wreszcie okno i udał się na spoczynek. W śnie trapiły go nieprzyjemne widziadła.

Zygmuntowi zdawało się, że widzi Anielcię, swoje biedne, nieszczęśliwe dziecko, stojące na szklanej kuli, która się toczyła z szaloną chyżością. Sam jechał na pięknym koniu i chciał ją doścignąć, lecz kula wymykała mu się ciągle i leciała szybko tuż nad brzegiem przepaści.

Gonitwa trwała ciągle, — gonitwa za szczęściem, do którego Zygmunt dążył napróżno od kilku lat.

Wreszcie udało mu się dogonić szklaną kulę. Pochwycił w ramienia Anielcię i przycisnął ją do piersi.

Lecz w tej chwili zobaczył nagle piękne i bezczelne rysy Loli. Nie odnalazł swego dziecka, lecz inną, która wydała mu się ukochaną Anielcią, — ową awanturnicę, która zatruła życie jemu i Kazimierzowi.

Sen przybierał coraz potworniejsze formy. Widział detektywa Listera, podobnego do kozła, który uśmiechał się szyderczo. Wreszcie zobaczył ociemniałego pana, mieszkającego obok niego. Dziwne, — ten nieszczęśliwy człowiek miał rysy Kazimierza, a Zygmunt, widząc to, zapłakał rzewnie.

Elżutka Rodeń objęła go ramionami za szyję i pocieszała swoimi pocałunkami.

Nagle przebudził się Zygmunt; był cały w potach.

Widocznie było już późno, gdyż słońce przeświecało przez spuszczone ża-

luzje. Zygmunt zerwał się z łóżka i wdział szybko ubranie. Następnie poszedł na śniadanie do hotelowej restauracji.

Miał zamiar zostać tylko do wieczora w Berlinie. Żadna sprawa nie zatrzymywała go w rezydencji. Nie spodziewał się odnaleźć Kazimierza i dlatego tęsknił za ciszą swojego zamku.

Z próżnemi rękami nie powróci jednak do Elżutki. Zygmunt, — jak to już było jego zwyczajem, — postanowił kupić jaki prezent. Po śniadaniu wyszedł na ulicę i oglądał wystawy. Spodziewał się, że mu się uda wyszukać coś pięknego.

W chwili, kiedy Zygmunt wychodził z hotelu, przeszła obok niego wykwintnie ubrana, młoda pani.

Nie mógł rozpoznać twarzy, ponieważ czarna, gęsta zasłona zakrywała oblicze. Zygmunt wnioskował tylko z jej chodu i postawy, że musi być piękną i młodą.

Dama nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Nie odwróciwszy nawet głowy, wyszła na ulicę, gdzie czekał na nią elegancki powóz.

Nagle w tej chwili, kiedy nieznajoma wsiadała do powozu, powiew wiatru podniósł jej zasłonę.

Przez jedną sekundę widać było jej rysy. Ta jedna sekunda przyprawiła Zygmunta o szalone wzburzenie.

Zobaczył twarz, którą widział dzisiaj w nocy we śnie. Nie wiedział jednak, — czy to były rysy Anielci, czy też twarz Loli?

Zanim opanował zdziwienie, dama wsiadła prędko do powozu, który po chwili zgubił się na zakręcie ulicy.

Zygmunt stał jak skamieniały i spoglądał za powozem, dopóki go nie stracił z oczu. Przechadzając się po ożywionych i pięknych ulicach stolicy nie widział ludzi ani skarbów, wystawionych w oknach pierwszorzędnych magazynów. Myślał ciągle o tej twarzy i wreszcie przyszedł do tego przekonania, że się zapewne pomylił.

Zygmunt uspokoił się powoli. Wyszedł z hotelu z zamiarem kupienia jakiegoś prezentu dla Elżutki. Ukochana kobieta powinna się przekonać, że o niej nie zapomniał i dlatego pragnął jej wręczyć dowód pamięci.

Piękny to zwyczaj, że robimy niespodziankę naszym ukochanym osobom, zwłaszcza, gdy wracamy z podróży.

Zygmunt pamiętał ciągle o tym staropolskim zwyczaju.

Inna dziewczyna nie posiadałaby się z radości, gdyby otrzymała jako prezent sztukę drogiego jedwabiu.

Lecz Zygmunt znał dobrze smak Elżutki.

Namyślał się, coby jej sprawiło największą uciechę. Zatrzymał się przed wystawą jednego sklepu i oglądał kosztowne materje, które lśniły się za szybą jak delikatne fale.

Elżutka ubierała się jednak skromnie i nie lubiła drogich sukien. Zawsze chodziła w ubraniu z ciemnej materji wełnianej, która to barwa odbijała świetnie od tej szlachetnej i smukłej postawy.

Wszystkie te różnobarwne materje, jak i dziwne kapelusze, wystawione



Strajk przeciw podatkom we Francji wzmaga się z dnia na dzień. Między innemi w Paryżu zostało bardzo wiele luksusowych i drogich nocnych lokali zamkniętych przez właścicieli z powodu niezmiernie wysokich podatków nałożonych na ten typ przedsiębiorstw przez rząd. W związku z tem w wielu nocnych lokalach doszło do strajku okupacyjnego. Na ilustracji naszej widzimy personel znanego kabaretu Lido, który na wiadomość, że właściciel zamierza zamknąć kabaret, postanowili okupować lokal. Na tle powszechnego strajku we Francji, to jest strajk wyjątkowy, ponieważ w danym wypadku jest to strajk, skierowany przeciw nazbyt wygórowanym podatkom.

u modystki, nie znalazłyby zapewne łaski w oczach Elżutki.

Nie, takim prezentem nie ucieszy serca swojej Elżutki. A i kosztowności, wystawione u jubilera „pod Lipami" nie odniosłyby także lepszego skutku.

Chętnieby wstąpił do tego sklepu i kupił jaki klejnot dla Elżutki. Cena była mu zupełnie obojętna. Wszystko wydawało mu się za tanie.

Najpiękniejsze rzeczy nie były dość dobremi dla Elżutki Rodeń.

Lecz czyż nie posiadał w swoim zamku kosztownego zbioru drogich kamieni i złotych przedmiotów, które przedstawiały nieocenioną wartość?

I czyż te wszystkie kosztowności nie przejdą kiedyś na własność Elżutki, gdy zostanie hrabiną Sokolską?

Nieraz pokazywał jej rodzinne kosztowności, z prośbą, by zechciała niemi rozporządzać. Zawsze błagał ją, by wybierała najpiękniejsze rzeczy. Lecz Elżutka Rodeń odmawiała zawsze z nieubłaganą stanowczością.

„Nawet, gdybym była twoją żoną," rzekła do Zygmunta, „to niechętnie będę się stroić temi kosztownościami i tylko wtedy, gdy będę zmuszona do tego nadzwyczajną okolicznością. Owa awanturnica nosiła także te djamenty. Nie zapominaj również, że rodzinne skarby, nawet wtedy, gdy będę twoją żoną, nie będą należały wyłącznie tylko do mnie. Najpiękniejsze rzeczy musi zabrać twoja córka, nasza biedna Anielcia."

Zygmunt przypomniał sobie jej słowa, stojąc przed jubilerską wystawą.

Odwrócił się niechętnie; czuł bowiem, że powróci do Elżutki z próżnemi rękoma.

Lecz nie! Tam dalej zobaczył wysokie okno, za którem były wystawione drogie obrazy. Były to same oryginały, a nie bezwartościowe naśladownictwa.

Znał artystyczny zmysł Elżutki i jej prawdziwy pociąg do dzieł sztuki. Dlatego postanowił jej zrobić małą niespodziankę.

Przeszedł przez ulicę i wstąpił do sklepu z dziełami sztuki. Właściciel pozdrowił uniżenie nieznajomego.

„Chcę kupić obraz," rzekł Zygmunt, „który nie wpada zanadto w oczy. Może być mniejszych rozmiarów, byle tylko był dziełem znanego mistrza."

Właściciel, mały, siwy mężczyzna, pokazał Zygmuntowi różne obrazy, które jednak nie uważał za stosowne jako prezent dla Elżutki.

Wszystkie nosiły piętno najnowszego kierunku i dlatego przewyższały naturę, lub też robiły wrażenie czegoś niezupełnego, niedokończonego.

„Nie widzę nic w moim guście," rzekł Zygmunt, — „niech mi pan pokaże coś w starszym stylu."

„Mam jedno małe malowidło," odparł właściciel po krótkim namyśle, „które kupiłem przed kilku dniami. Lecz muszę zauważyć, że malarz tego obrazu jest prawie nieznany. Jeżeli wielmożny pan kładzie główny nacisk na słynne nazwisko — — "

„Nie rozchodzi mi się wcale o nazwisko," przerwał Zygmunt. „Proszę niech pan będzie łaskawy pokazać mi ten obraz. Kupię go, jeżeli przedstawia pewną artystyczną wartość."

Właściciel wyjął ze szafy mały obraz, oprawiony w zwykłe ramy. Zdjął zielone sukno w które był zawinięty i postawił go na sztaludze koło drzwi.

Zanim zdjął zielone sukno, zwrócił się jeszcze raz do Zygmunta i rzekł:

„Obraz ma niestety pewien zarzut, a artysta, znanym jest z tego, że wybiera zawsze dziwne sceny. Inaczej byłby może bardziej znanym i cenionym przez publiczność. Tą razą stworzył dzieło, mówiące wyraźnie:

„Młoda dziewczyna o cudnej urodzie znajduje się w celi domu obłąkanych. Siedzi przy zakratowanem oknie i robi ręczną robótkę. Niech pan sobie przedstawi, — jaka oryginalna myśl! Malarz daje do poznania, że młoda dziewczyna znajduje się niewinnie wśród warjatów. To znaczy: osoby, pragnące pozbyć się nieszczęśliwej, zamknęły ją — w domu obłąkanych wbrew jej woli i prawu. Młoda dziewczyna wpadła na dziwną myśl. Ponieważ jej wołanie o wolność nie może się przedostać za mury zakładu, — odcięto jej bowiem wszystkie drogi, prowadzące do ludzi, — więc sporządza ręczną robótkę, której powierzyła tajemnicę swojego nieszczęścia. Z nadzieją spogląda na swoją pracę. — Obraz jest tak pięknie malowany, że można nawet rozpoznać słowa, które wymawia nieszczęśliwa dziewczyna. — Te słowa brzmią:

„Nie jestem obłąkaną! Mój umysł jest trzeźwy! — Kto mnie wybawi z domu obłąkanych?"

Właściciel wymówił pospiesznie te zdania. Tak się zachwycił tem opowiadaniem, że nie zauważył nawet, jak głębokie wrażenie wywarły jego słowa na nieznajomym.

Jego twarz pokryła się trupią bladością; przymknął oczy, a lekkie drżenie wstrząsnęło jego ciałem.

Scena z domu warjatów! — Obraz z przytułku, — w którym żyją najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych, prawdziwi nędzarze! Ach, mężczyzna, który skreślił mu ową scenę w tak żywych barwach, nie przeczuwał wcale, jak boleśnie raniło go to opowiadanie! Jakie wspomnienia budziły w nim te słowa! Jaka burza wrażeń nurtowała w jego piersi. Nie myślał i nie mógł odgadnąć, że w domu obcego znajduje się także nieszczęśliwe stworzenie, które doznało podobnego losu.

„Mój panie," zapytał nieśmiało kupiec, „życzy pan sobie zobaczyć obraz, czy też może pan nie chce kupić takiego strasznego malowidła? Obraz wzrusza do głębi, a ja sam nie mogę się powstrzymać od łez. — Co się stało panu? Pan płacze? Jestem przekonany, że ten obraz nie przypadnie panu do gustu. Nie każde nerwy mogą spokojnie znieść taki zarzut!"

Kupiec chciał zdjąć ze sztalugi zasłonięty obraz i schować go do szafy. Lecz Zygmunt powstrzymał go ruchem ręki i rzekł:

„Nie, — pokaż mi pan ten obraz. Zaciekawił mnie. Postaw go pan na sztaludze i zdejm sukno. Jeżeli mi się spodoba ten obraz, to go kupię."

„Proszę bardzo."

Kupiec zdjął sukno. Przez duże szyby padł słoneczny promień do sklepu i oświecił posępny obraz. — Z ust Zygmunta wydobył się okrzyk przerażenia.

Przyskoczył do obrazu. Wyciągnął ręce, jakby go chciał pochwycić w ramiona i przycisnąć do piersi.

Lecz nagle stanął ociemniały. Tylko jego łzawy wzrok wbijał się wprost w płótno obrazu.

„Anielciu! — Anielciu! — O mój Boże, to ona, — — ona!"



W tych dniach obradował w Berlinie międzynarodowy kongres akuszerek. Na naszem zdjęciu widzimy ministra spraw wewnętrznych Rzeszy — dr. Fricka w otoczeniu zagranicznych uczestniczek kongresu. Na prawo, obok ministra, stoi prezeska

Właściciel cofnął się wstecz przerażony, widząc graniczące z szaleństwem wzruszenie nieznajomego pana.

„Co się stało panu?" zapytał nieśmiało. „Żałuję, że pokazałem ten obraz. Proszę niech pan siada. Oto krzesło. Może podać szklankę wody?"

„Wody?" wyszeptał Zygmunt. „Tak, proszę, niech mi pan poda szklankę wody. — Ten obraz wywarł na mnie głębokie wrażenie, — zanadto zaufałem moim nerwom."

Właściciel pospieszył do pokoju, położonego za sklepem, a Zygmunt spoglądał z zainteresowaniem na obraz.

„Nie, tutaj nie można mieć wątpliwości, to jest zakład doktora Morizano! A ta urocza postać, która siedzi przy oknie i spogląda na swoją robotę, o mój Boże, — to jest dziewczyna, nosząca rysy mojej Almy. Podobieństwo jest tak wielkie, — to jest Alma, albo jej dziecko, moja nieszczęśliwa Anielcia."

W tej chwili wrócił kupiec. Zygmunt opanował już swoje wzruszenie. Wziął z podziękowaniem z ręki kupca szklankę wody, odświeżył usta i postawił ją na stole.

„Uspokoiłem się już; ten obraz, to prawdziwe arcydzieło. Ta dziewczyna wygląda jak żywa. Jak pan sądzi, czy artysta malował ten obraz z fantazji, czy też stworzył go z natury?"

„Często myślałem o tem," odparł właściciel, „nie znalazłem jednak odpowiedzi. Właśnie jest możliwe, by malował ten obraz z natury! Przypuśćmy że nieszczęśliwa, którą nam pokazuje malarz, rzeczywiście wegetowała w domu obłąkanych, to w każdym razie wątpię bardzo, czyby pozwolono artyście na zdejmowanie tego rodzaju szkiców. Z drugiej strony trudno uwierzyć, że fantazja artysty stworzyła taki wierny obraz ludzkiej nędzy. Takich rzeczy nie można wymyśleć; przynajmniej jakąś cząstkę prawdy musi zawierać ten obraz. Zresztą artysta jest dziwnym człowiekiem. Jestem przekonany, że na tego rodzaju pytanie nie dałby żadnej odpowiedzi, ani wyjaśnienia."

„Biorę ten obraz," zawołał pospiesznie Zygmunt, „ile kosztuje?"

„Wcale nie dużo," odparł kupiec. „Obraz kosztuje tylko 500 marek."

„Co, artysta żąda tak małą sumę za tę cudowną pracę?"

„Powiedziałem już panu, że ów malarz jest oryginałem. Nie maluje z myślą o zarobieniu pieniędzy. — Zwykle żąda tylko tyle, by jakiś czas mógł znowu przepchać kilka miesięcy."

„Artysta znajduje się w Berlinie?"

„Koło Berlina."

„Może mi pan powiedzieć jego nazwisko i adres?" zapytał Zygmunt.

Starał się zapytać obojętnie, lecz głos jego drżał widocznie, a oczy spoczywały niespokojnie na twarzy osiwiałego mężczyzny, na którego odpowiedzi tyle mu zależało.

Kupiec namyślał się i milczał.

„Ów malarz nie lubi," odparł po chwili, „by wymieniano jego nazwisko. Nawet wobec mnie skąpi szczegółów swojego życia. A nawet prosił mnie, bym nikomu nie wspominał o jego osobie. Nie wiem więc, czy mam wyjawić panu nazwisko tego malarza."

„O, bądź pan tak łaskaw, proszę bardzo," zawołał Zygmunt, „niech pan będzie przekonany, że pytam o niego w dobrym zamiarze. Chciałbym rozmówić się z nim w jednej sprawie."

„Sądzę," odparł właściciel, „że nie popełnię zbrodni, jeżeli tą razą przekroczę zakaz milczenia. Malarz tego obrazu mieszka w małej wiosce pod Berlinem, — w Lichtenberg. Artysta nazywa się Marcin Gunsbacher. Jest on jak wspomniałem znanym oryginałem."

„Ile lat liczy?" badał Zygmunt.

„Koło pięćdziesięciu, sądząc z jego wyglądu. Żyje samotnie w starym budynku bez służby. Czasem przejdą miesiące, a nikt go nie widzi. Dlatego wątpię, czy go pan zastanie w domu. Chciałem go raz odwiedzić, lecz niestety nie spuścił zwodzonego mostu, który łączy jego dom ze skałą. Niech pan spróbuje. Spodziewam się, że Marcin Gunsuacher przyjmie pana.“

„Mam nadzieję,“ odparł Zygmunt hrabia Sokolski. „A co się tyczy tego obrazu, to zapłacę panu chętnie podwójną cenę. Niech pan będzie łaskaw przyjąć tysiąc marek i odesłać mi obraz do hotelu „Kaiserhof.“

„Zresztą,“ dodał pospiesznie Zygmunt, „pytałeś pan malarza o tytuł tego obrazu?“

„Tak jest! Nazwał go: „Ostatnią nadzieją nieszczęśliwej.“

„Ostatnia nadzieja nieszczęśliwej“, powtórzył Zygmunt. „Już sam tytuł obrazu wyraża ogrom boleści.“

Nie mógł oderwać się od tego obrazu. Wreszcie podał rękę właścicielowi handlu i wyszedł ze sklepu.

Zygmunt przeszedł całą ulicę „pod Lipami“ i skierował swe kroki do zoologicznego ogrodu.

Nie wątpię, że przez ten obraz zrobił ważne odkrycie. Co prawda, nie wiedział jeszcze, ile pożytecznem będzie dla niego to odkrycie; był bowiem przekonany, że malowidło przedstawia raczej Almę, aniżeli Anielcię.

Malarz, który rzucił tę postać na płótno, widział zapewne zakład doktora Morizano, i poznał tam Anielcię, albo Almę. Było niemożliwe, by stworzył te rysy z fantazji.

Podobieństwo było zanadto uderzające w oczy.

Zygmunt odetchnął lekko, wchodząc do ogrodu, przybranego w jesienne szaty.

„Muszę odwiedzić Gunsbachera i poprosić go o wyjaśnienie,“ szepnął do siebie.

W„ takim razie nie opuszczę Berlina dzisiaj wieczór. Jeżelibym go dzisiaj nie zastał, to jutro powtórzę moje odwiedziny. Może mi się uda zastać go za pierwszą razą. W takim razie wyjadę jutro ze stolicy i udam się na mój zamek.“

Zygmunt przechadzał się po ogrodzie i powrócił następnie do hotelu „Kaiserhof“.

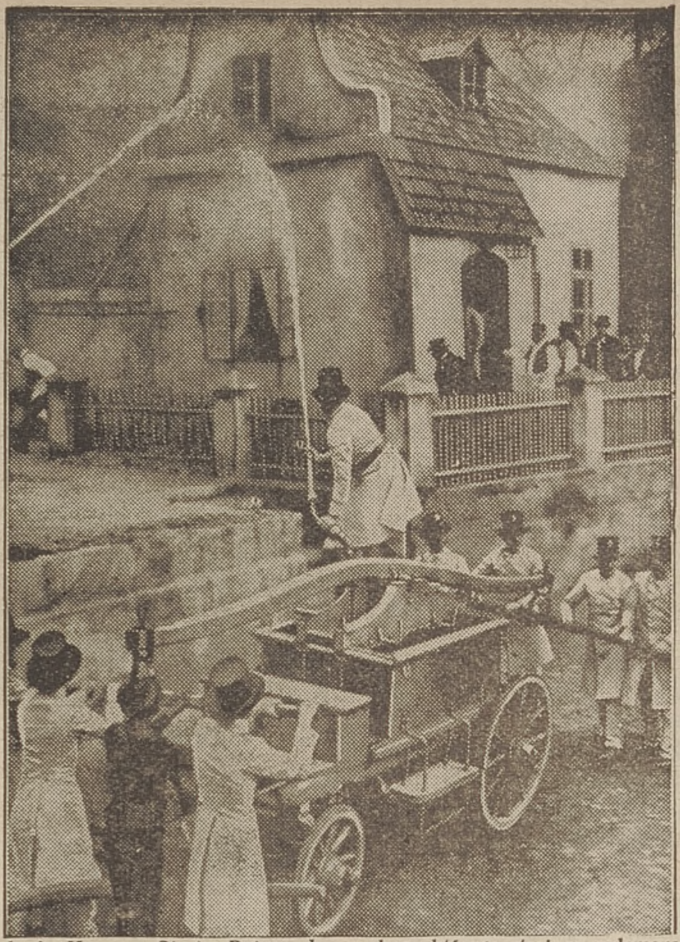
Wchodząc do hotelu, był głęboko zamyślony. Wyjechał windą na pierwsze piętro i otworzył drzwi, które przez pomyłkę wziął za swoje.

Wszedłszy do pokoju, zauważył szelest, dolatujący od okna. Teraz zauważył dopiero, że się pomylił i wszedł do obcego pokoju.

Chciał wyjść, gdy wtem spojrzał ku oknu. Na krzesełku siedział jakiś mężczyzna.

Trudno było rozpoznać jego bladą, zarośniętą twarz, ponieważ zasunięte żaluzje nie wpuszczały dużo światła do pokoju.

Zygmunt pomyślał sobie zaraz, że to będzie zapewne jego sąsiad. Ach, w takim razie skorzysta ze sposobności, i przeprosi go za mimowoli wyrządzoną przykrość.



W Wiedniu odbył się Kongres Straży Pożarnych, podczas którego strażacy zademonstrowali ciekawe pokazy gaszenia pożaru, poprzebierani w stroje z 1850 r.

Zbliżył się więc do młodego mężczyzny i przemówił stłumionym głosem:

„Proszę mi przebaczyć, żem przez nieuwagę wszedł do obcego pokoju. Korzystam ze sposobności, — ponieważ wczoraj — “

Zygmunt nie dokończył zdania; młody mężczyzna, zerwał się nagle ze stołka. Opierając się na kiju, zbliżył się do Zygmunta i zawołał:

„Ten głos! Nie, nie, — to niemożebne! — Jakie złudzenie! — Czyś to ty, Zygmuncie, mój przyjacielu i ojcze?“

Z ust Zygmunta wydobył się okrzyk zdumienia.

W następnej sekundzie przyskoczył do ociemniałego i porwał go w ramiona.

CXLIX.
Wyjaśnienie

„Kazimierz!“ zawołał Zygmunt. — „Więc ty jesteś owym nieszczęśliwym sąsiadem? — Dzisiaj w nocy śniłem o tobie. Kazimierzu, — o Kazimierzu, jakie nieszczęście spotkało cię, mój drogi przyjacielu.“

„Przyszedłeś wreszcie?“ zawołał Kazimierz. „Myślałem, żeś nie otrzymał mego listu!“

„Twojego listu?“ spytał Zygmunt. „O jakim mówisz liście?“

„Pisałem do ciebie z Ameryki; list został nadany we Philadelfi.“

„Nie otrzymałem żadnego listu z Philadelfi,“ odparł hrabia Sokolski.

Lecz na wspomnienie miasta Philadelfi zmarszczył bezwiednie czoło. W tej chwili przypomniał sobie wczorajsze słowa detektywa Listera. We Philadelfi żył Kazimierz z jakąś kobietą, — z którą ożenił się zapewne pokryjomu.

Zygmunt przywitał nieszczęśliwego z niekłamaną radością.

Lecz zasługiwał Kazimierz na taką miłość, — on, — który pojechał do Ameryki po Anielcię, — a tymczasem ożenił się z inną kobietą?

Nastąpiła przykra chwila milczenia. Zygmunt spoglądał bezmyślnie przed siebie.

„Nie otrzymałeś mojego listu?“ zawołał wreszcie Kazimierz. „Ah, prawdopodobnie zginął po drodze. Pisałem ci o mojem nieszczęściu, które mnie spotkało na kolei Pacific.

„Tak, Zygmuncie, spójrz na mnie, patrz, co się stało ze mnie: straciłem wzrok! Młody, pełen sił, tak, tak, — zdążam powoli do grobu.“

Zygmunt nie mógł się powstrzymać od łez współczucia. Nieszczęście Kazimierza wywarło na niego olbrzymie wrażenie.

„Później omówimy wszystko,“ zawołał Zygmunt; „teraz objaśnij mi twoją chorobę. Co mówią lekarze? Niema żadnego ratunku? Boże!“

„Do wczoraj byłem w zupełnej nieświadomości!“ odparł Kazimierz, „lecz profesor Grafe oświadczył, że odzyskam znowu mój wzrok, jeżeli przepędzę kilka miesięcy w absolutnej ciszy. Właśnie myślę o takiem życiu, — przy boku mojej ukochanej żony.“

Zygmunt cofnął się nagle, jakby go ukąsiła jadowita żmija.

„Ożeniłeś się, — więc to prawda?“ zapytał Zygmunt.

„Nie, ojcze,“ odparł Kazimierz, szukając ręki Zygmunta, „nie, dotychczas nie wzięliśmy ślubu. Nastąpi to jednak w niedalekiej przyszłości.“

„Weźmiecie ślub? — Tak bardzo się kochacie?“

„Czy ją kocham?“ zawołał Kazimierz. „Jak mam ją nie kochać? Wkrótce zobaczysz ją na własne oczy. Wyszła

przed pół godziny po sprawunki. Musi wnet wrócić.“

Zygmunt zasłonił sobie ręką oczy. Po chwili zawołał zmienionym głosem:

„Więc ta dama, która z tobą jeździ, jest twoją narzeczoną? Zaręczyłeś się w Ameryce?“

Na wargach ociemniałego zawisł wesoły uśmiech, poczem przemówił:

„Tak, zaręczyłem się w Ameryce i wkrótce wezmę ślub. Spodziewam się, że mnie zaszczycisz swoją osobą, a zapewne i Elżutka Rodeń nie odmówi mi swojej bytności.“

„Nie, tego już zadużo!“ wybuchnął Zygmunt, „jakto, ośmielasz się zapraszać mnie na twoje wesele, — z inną kobietą? Czyż nie przysiągłeś mi kochać wiecznie Anielcię, i wziąć ją za żonę? Uważałem cię już za mojego zięcia, nawet wtedy, gdyśmy zdemaskowali Lolę.“

„Naturalnie!“ odparł wesoło Kazimierz, „przyciągłem kochać Anielcię i dotrzymam mego słowa.“

„Teraz już zupełnie nierozumiem,“ zawołał Zygmunt. „Przed chwilą mówiłeś, żeś się zaręczył w Ameryce i, że twoja narzeczona bawi też przy tobie.“

Ociemniały uścisnął hrabiego i zawołał:

„Nie domyślasz się jeszcze, że ta, z którą przyjechałem do Berlina, jest właśnie twoją córką, — twoją Anielcią?“

„Moja córka?“ odparł Zygmunt. „Moja córka, — — Anielcia? — O Kazimierzu, nie żartuj z najświętszemi uczuciami nieszczęśliwego ojca. Czyż to możliwe, żeś odnalazł Anielcię?“

„Tak, znalazłem ją!“ zawołał Kazimierz i rzucił się Zygmuntowi w objęcia.

Przyjaciele trzymali się długo w objęciach.

Zygmunt nie mógł mówić z wzruszenia. Serdeczne łzy były jedynym wyrazem jego uczuć.

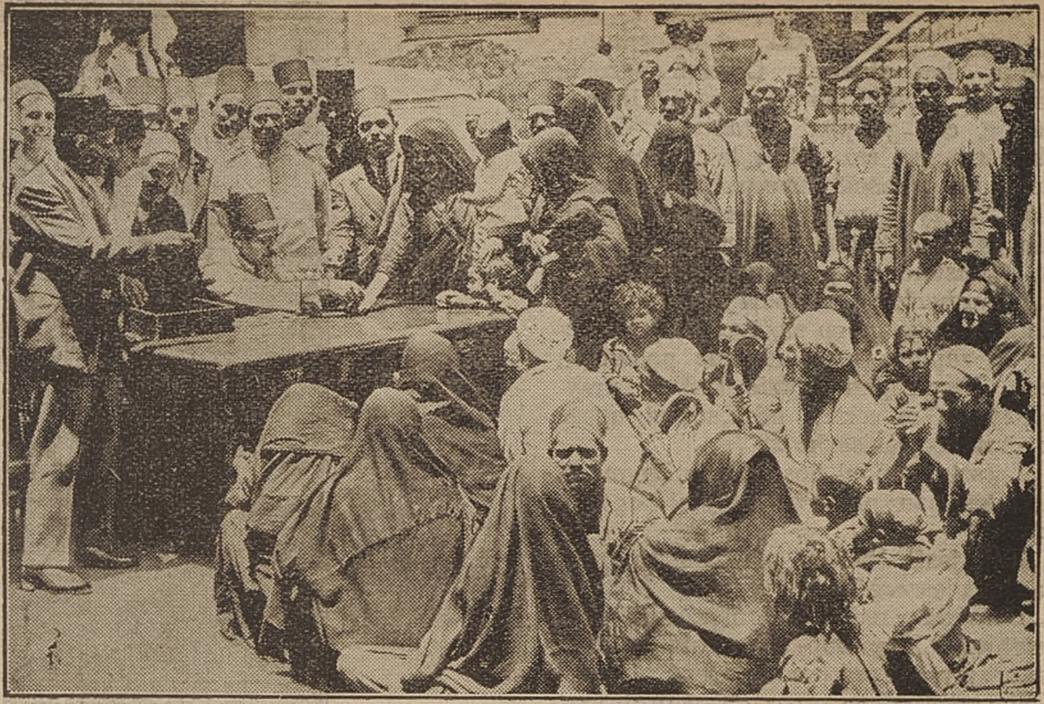
Więc się spełniły jego życzenia? Kazimierz odszukał Anielcię? Anielcia była w Berlinie, a tylko ślepy przypadek zrządził, że jej nie zastał przy boku Kazimierza.

O, tyle szczęścia! Opuszczały go siły.

„Bądź mężczyzną, znieś szczęście, tak jak znosiłeś srogie uderzenia losu! Za kilka minut zobaczysz Anielcię, — i przyciśniesz do piersi twoją córkę. — O, Zygmuncie, gdybyś wiedział, co to za anioł. Zawdzięczam jej moje życie! Po strasznej katastrofie, wysadzonego w powietrze pociągu, wydobyła mnie z rozbitego wagonu. — Zaniosła mnie do jaskini i pielęgnowała jak dziecko. Następnie wyprowadziła mnie na gościniec i pojechała ze mną na wschód do Philadelfi. Świadomość, że przy mnie była Anielcia, — nadzieja bliskiego ślubu, — moja ukochana dziewczyna, — wszystko to przyczyniło się głównie do mojego wyzdrowienia.“

„Mówiła o mnie?“ zapytał Zygmunt, „wspominała swego ojca?“

„Naturalnie. Ciągle mówiła o tobie! Anielcia nie mogła się doczekać tej chwili, kiedy zobaczy wreszcie swojego ojca. Biedne dziecko, dość wycierpiało. Losy traktowały ją po macoszemu!“



Młody król egipski Fuad, otacza wielkiemi względami najuboższych obywateli swego kraju, a nawet, jak to widzimy na zdjęciu, własnoręcznie rozdaje im jałmużnę.

„Teraz będzie inaczej!“ zawołał radośnie Zygmunt. „Dzisiaj wieczorem jedziemy do naszego zamku. Zdaniem profesora Grafe potrzebujesz spokoju, celem odzyskania utraconego wzroku. Z chwilą wyzdrowienia urządzimy na zamku Sokolskich wspaniałe wesele.

„Ach, jaka szkoda, że jej nie mogę ucałować!“ mówił hrabia Zygmunt. „Wiedząc, że się tutaj znajduję, nie mogę się doczekać tej chwili, kiedy ją zobaczę. Biedny Kazimierzu, nie widziałeś więc jej twarzy? Słyszałeś jednak jej głos? Powiedz mi, Kazimierzu, czy jej głos jest podobny do mojego?“

„Nie wiem,“ odparł Kazimierz z widocznem zakłopotaniem; „co się tyczy jej głosu, to właśnie sam nie wiem, co mam myśleć. Wiem, że to ona do mnie mówi, a jednak jej głos brzmi jakoś dziwnie inaczej! A potem zdaje mi się znowu, że to moja ukochana dziewczyna stoi przedemną i spędza swemi paluszkami troski osiadłe na mojem czole. Zobaczysz ją jednak wkrótce, Zygmuncie! Możesz być dumny ze swej Anielci!“

„Przecież to moje dziecko!“ zawołał Zygmunt. „Jakże nie mam się cieszyć na tę chwilę, kiedy otworzą się drzwi i zobaczę drogą Anielcię! Lecz powiedz mi, kiedy powróci? Każda minuta jest dla mnie całą wiecznością.“

„Anielcia wyszła przed pół godziny po sprawunki do miasta. Najdalej za godzinę wróci do hotelu.“

„Za godzinę, — oh, to za długo! Lecz wiesz co, Kazimierzu, jeżeli cię mogę opuścić na chwilę, to skorzystam z czasu i poślę depeszę do Elżutki. Ucieszy się, żeśmy znaleźli Anielcię! Zatelegrafuję, że dzisiaj wyjeżdżamy razem z Berlina. Oh, wyobrażam sobie jej uciechę, gdy przeczyta mój telegram.

„Nie weźmiesz mi tego za złe“, zapytał Zygmunt, „że nadam osobiście depeszę?“

„Idź, idź, Zygmuncie! Pojmuję twój pospiech. Staraj się jednak wrócić za pół godziny. Nie powiem Anielci, żeśmy się już widzieli, i że jeszcze dzisiaj zobaczy się z ojcem. Będzie lepiej jak jej zrobisz niespodziankę i zjawisz się nagle.“

„Wyborna myśl!“ zawołał hrabia Zygmunt, chwytając za kapelusz i laskę, właśnie chciałem cię o to prosić, mój Kazimierzu, byś mi nie popsuł tej niespodzianki. — Wrócę najdalej za pół godziny. O mój Boże, zdaje mi się, jakbym nagle odmłodniał, przynajmniej o dwadzieścia lat. Wreszcie, — wreszcie znikły przeszkody, które ciążyły klątwą na zamku Sokolskich. Wreszcie wróci do mojego domu, jedyna, prawdziwa pani. — Nie pomyśleliśmy jednak wcale o biednej Almie. Jakie wrażenie zrobi na nią Anielcia, własna córka, gdy się zjawi nagle przed matką?“

„Biedna Alma,“ zawołał Kazimierz. „Musimy jednak uważać, by nagła radość nie spowodowała jej śmierci.“

„Tak, masz słuszność,“ odparł Zygmunt. „Drogi Kazimierzu, nie zapomnij o przyrzeczeniu. Zapanuj nad sobą i nie zdradź tajemnicy przed Anielcią, jeżeli wróci wcześniej odemnie.“

Zygmunt podał rękę przyjacielowi i wybiegł z pokoju.

Zbiegł po schodach, i po chwili znalazł się na ulicy. Świeże powietrze podziałało na niego orzeźwiająco.

Dlatego postanowił się najpierw przejść, a potem nadać depeszę. Ten poważny mężczyzna zmienił się nagle do niepoznania. Z jego twarzy biło szczęście i niekłamana radość.

CL.

Rzekomo zmarły

Lola załatwiała w Berlinie ostatnie przygotowania do podróży. — Przypuszczała, że z nastaniem ciemności wyjedzie z młodym hrabią z Berlina i uda się do jego posiadłości. Chciała uprowadzić swego kochanka i odoso-

bnić go od całego świata.

Będą żyli zdala od ludzi, w ciszy wiejskiej. Służba musi być posłuszną na każde skinienie Loli. Ci, którzy nie zasługują na zaufanie, zostaną natychmiast wydaleni. Zresztą można ograniczyć służbę tylko na kilka osób. — Słowem, nie dopuści nikogo do siebie.

Kazimierz opowiadał jej często, że posiada wspaniały zamek nad samym brzegiem Renu. Z okien i z balkonów widać srebrną wstęgę rzeki. W lecie setki turystów zwiedzają zamek i jego osobliwości, — naturalnie za specjalnem pozwoleniem.

Lola postanowiła przeszkodzić turystom w odwiedzaniu zamku. Skoro Kazimierz zamieszka w starym zamku, dla każdego będzie wstęp surowo wzbroniony. Zresztą było to zupełnie zrozumiałe, ponieważ nieszczęśliwy właściciel był ociemniały. Ciemny nie przyjmuje żadnych odwiedzin, a zwłaszcza odwiedzin obcych ludzi.

Lola postanowiła niedopuścić do Kazimierza krewnych ani znajomych. Przedewszystkiem musiała uważać, żeby Zygmunt Sokolski albo Elza Rodeń, nie dowiedzieli się o pobycie Kazimierza. Lecz w jaki sposób to urządzić, by się samej nie narazić na niebezpieczeństwo?

Lola zadawała sobie ciągle to pytanie. W czasie niebytności w hotelu „Kaiserhof" myślała ciągle o swoich planach. Sprawunki, które porobiła w różnych magazynach, kazała sobie odnieść do hotelu.

Następnie przechadzała się po ulicach Berlina i myślała ciągle, w jaki sposób odjąć Kazimierzowi nadzieję na spotkanie się z Zygmuntem Sokolskim!

Nagle tryumfujący uśmiech zaigrał na jej pięknych ustach. Po chwili przystąpiła do policjanta i zapytała go, gdzie się znajduje najbliższe biuro telegraficzne. Policjant objaśnił ją uprzejmie, poczem skierowała kroki do oznaczonego domu.

Weszła do sali, w której się nadaje depesze i usiadła przy małem biurku, na którem znajdowały się formularze na depesze, pióra i atrament.

Napisała kilka słów i zaopatrzyła je swoim podpisem. Nie nadała jednak depeszy przy oknie, lecz schowała ją do kieszeni, poczem opuściła wolnym krokiem biuro telegraficzne.

W tej chwili, kiedy chciała otworzyć drzwi, prowadzące na ulicę, zobaczyła przed sobą wykwintnie ubranego mężczyznę.

Lola skłoniła lekko głową; mężczyzna przystanął oniemiały. Był to hrabia Zygmunt Sokolski, który spotkał znowu nieznajomą z hotelu „Kaiserhof."

Tą razą powiew wiatru nie odsłonił jej zasłony. — Przeszła szybko obok Zygmunta i znalazła się po chwili na ulicy. Zawołała dorożkę i kazała się zawieść do hotelu „Kaiserhof".

Serce biło jej jak młotem, gdy stanęła przed drzwiami pokoju, w którym mieszkał Kazimierz. Wiedziała, że teraz rozstrzygnie się jej cała dalsza przyszłość.

Własnoręcznie napisana depesza uchroni ją, — jak sądziła Lola, — od niebezpieczeństwa, które jej zagrażało ze strony hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Owa depesza powinna odjąć Kazimierzowi wszelką nadzieję, że zobaczy kiedyś Zygmunta.

Lola westchnęła głęboko, otworzyła cicho drzwi i weszła do pokoju.

„To ty?" zapytał hrabia, spoglądając na ulicę. „to ty, Anielciu?"

„Tak jest, mój Kazimierzu!" odparła Lola i zdjęła zasłonę z kapelusza. „Jak ci się powodzi, mój kochany Kazimierzu? Nie nudziłeś się w czasie mojej niebytności?"

„O nie," odparł wesoło Kazimierz. „Myślałem o tobie, moja droga Anielciu. Wcale się nie nudziłem."

„Jakto, nie było ci przykro za mną?"

Podbiegła do Kazimierza i zarzuciła mu na szyję swoje śnieżne ramiona, całując go namiętnie.

Kazimierz przycisnął ją do piersi; czuła jednak jego drżenie!"

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 21 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Włocławka 11.10 Muzyka z płyt 12.03 Poranek muzyczny 14.30 Audycja dla wsi 15.30 Rewja polskich revellersów 16.30 „Abdykacja króla kurkowego" — transm. z Rynku Krakowskiego 10.05 „Sianokos na Kujawach" — migawka regjonalna 17.25 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera 18.00 Koncert — słuchowisko 18.30 Wielki koncert rozrywk. orkiestry i solistów z Wilna 20.25 Kwadrans poetycki 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 „Ziemia Krakowska w tańcu i śpiewie" 22.00 Transmisja fragm. meczu piłkarsk. Kraków—Belgrad (z Krakowa) 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 22 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 „W rozśpiewanej Italji" 15.45 „Tam, gdzie powstają R. W. D." — reportaż dla dzieci starszych 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 17.30 Arje i pieśni w wyk. Walentyny Walewskiej 17.50 „Rogacz w tarapatach" — pogadanka 19.30 „Tańce różnych narodów" — recital fortepian. Juljusza Wolschna 20.00 W Zalesiu ks. Michała Ogińskiego — audycja muzyczna 20.30 „Sobótki nad morzem" — feljeton 21.00 Duety i piosenki w wyk. Janiny Godlewskiej i Andrzeja Boguckiego 21.30 Koncert w wyk. Kwartetu Smyczkowego 22.15 Muzyka lekka i taneczna.

Wtorek, dnia 23 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert południowy 16.00 Fragment z dzieł Ryszarda Wagnera 16.45 Skarby Polski — Muzea polskie" — odczyt 17.00 Koncert w wyk. Tad. Seredyńskiego 17.50 Kukułcze jajo — pog. 19.00 Arje i pieśni w wykon. Michała Zabejdy-Sumickiego 19.25 Witold Friemann Sonata na fortepian i altówkę 19.50 „Wianki" — fragm. z III. aktu pt. „Kwiat paproci" 20.00 Pieśni ludowe o wiośnie i miłości — audycja muzyczna 20.30 „Mój dziennikarski jubileusz" — szkic liter. Kornela Makuszyńskiego 21.00 Koncert wieczorny w wyk. Ork. Symf. P. R. 22.15 Muzyka taneczna z Ciechocinka.

Środa, dnia 24 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z Łasenu w Ciechocinku 15.45 „Djabeł w butelce" — bajka mórz, słuchowisko dla dzieci 16.15 „Śpiewające raz dwa, trzy" — Ola Obarska 17.00 Utwory muzyki włoskiej 17.30 Recital śpiewaczy Jadwigi Radwanówny 17.50 „Anegdoty z życia Edissona" 19.00 Koncert kamerlany w wyk. Warsz. Kwartetu Smyczk. 19.25 „Hiszpańskie pieśni ludowe" — ze Lwowa 20.00 Muzyka lekka z płyt 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" — „Lud Kresów Półn.—Wschodn" 21.00 II-ga aud. z cyklu „Utwory Fryderyka Chopina w wykon. słynnych pianistów" 21.35 „Sobótka czarnoleska" — fragmenty z pieśni Świętojańskiej o sobótce — Jana Kochanowskiego 22.30 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, dnia 25 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Klasycy wiedeńscy 15.45 „O nasionach — wędrowniczkach" — opow. dla dzieci młodszych 16.00 Koncert popularny 17.30 Zygmunt Noskowski — „Powrót" — suita w 8 częśc. 17.50 „Słońce, a zdrowie" — pogadanka 19.00 Teatr Wyobraźni u obcych: słuchowisko „Corleone" 19.30 Recital fortepianowy Stan. Szpinalskiego 20.00 Koncert w wyk. Ork. Kameralnej pod dyr. Alberta Katza 21.00 8-ma aud. z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz" 21.30 „Maik — Gaik" — audycja muzyczna 22.15 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 26 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Koncert w wyk. Zespołu Salonowego Pawła Rynasa 16.00 Miniatury skrzypcowe 16.25 Piosenki w wyk. Kwartetu Andy Kitschmann 16.45 Skarby Polski — „Kultura polska" — odczyt 17.00 „Szwedzkie melodje" — w wyk. Orkiestry Kameralnej 19.00 Ernest Dohnanyi: Kwintet fortepianowy c-moll op. 1. 19.30 Ludowe pieśni hiszpańskie 19.45 Piosnka Fortunia — operetka w 1 akcie J. Offenbacha 20.30 „Figle „Kajtusia" — fragm. z książki J. Koeczka pt. „Kajtuś czarnodziej" 21.00 Koncert z udziałem Maryli Jonasówny 22.15 Pieśni o kwiatach odśpiewa Wanda Roessler-Stokowska 22.40 Muzyka salonowa i taneczna.

Sobota, dnia 27 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka 14.30 Koncert w wyk. ork. Tad. Seredyńskiego 15.45 „Człowiek za burtą" — słuch. dla dzieci napisał Konarski 16.05 Koncert solistów 16.50 Błyskawiczna podróż na ORP. „Burza" — odczyt 17.05 Nowości z płyt 17.50 „Kresowe miasteczko" — pogadanka 18.50 Reportaż z portu Maryn. Woj. na Oksywiu — transm. z Gdyni 19.05 Koncert Kwartetu Salonowego Rozgłośni Krakowskiej 19.30 Fragmenty operowe polskie 20.15 Aud. dla Polaków zagranicą „Zlot śpiewaków polskich z zagranicy" 20.55 „Święto Morza" — przemówienie Kontradmirała Jerzego Świrskiego 21.00 „Mozajka muzyczna" 21.30 „Pustelnik 20-go wieku" — żart radjowy Jerzego Ostrowskiego 22.15 Muzyka taneczna z Ciechocinka 23.00 Chór Juranda śpiewa piosenki 23.30 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KWADRAT MAGICZNY

ul. „Egaw" — Miłosław

Wyrazy pomocnicze: 1) Nazwa prowincji tureckiej. 2) Scena w cyrku. 3) Nazwa, dana cesarzowi Abisynji. 4) Imię żeńskie. 5) Używa się do przerąbywania mięsa.

BILETY WIZYTOWE

Gr. Bazar

Ks. R. Pezyk

Dr. Z. Razbino

Czem są właściciele biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 26 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 22 „Moich Powieści": Logogryf: 1. Kukułka, 2. Pranie, 3. Drab, 4. Hic, 5. Ponownie, 6. Barbara, 7. Posażna, 8. Rzewny, 9. Bocian, 10. Kazio, 11. Helena, 12. Selery, 13. Srebro, 14. Złość, 15. Cudowny, 16. Wisia, 17. Ksycki, 18. Banany, 19. Strach, 20. Basia, 21. Buziak, 22. Rychło, 23. Kaczory, 24. Chałupa, 25. Potężnym, 26. Pro, 27. Prom, 28. Psotny, 29. Pokorny. *Całość: „Kraina szczerości i naszych trosk"*. Łamigłówka: Kanada, kanapa.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: W. Orzeszkiewicz — Puck, Anna Piotrowska — Brzeżany, Aniela Gudczanka — Brzezie, Juljusz Wawrzyniak — Poznań, Bolesława Krzewińska — Kalisz, B. Rajmund — Ostrówiec, Maciej Katelski — Warszawa, Zofja Kraska — Ślesin, Amelja Błochówna — Grabowo, Zofja Andrzejewska — Koźmin.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Bolesławie Krzewińskiej z Kalisza i B. Rajmundowi z Ostrówca.

HUMOR

Dobroczyńca

— Jakto, ukradłeś temu człowiekowi dwa litry spirytusu i powiadasz, że nie działałeś na jego szkodę?

— Panie komisarzu, ja wiem, że jemu alkohol szkodzi.

Naprawdę naiwny

— Ileż ty lat masz, mój chłopcze?

— Mam pięć lat, proszę pana, ale mumusia mi powiedziała, że jeżeli co dzień rano na śniadanie będę jadł grzecznie moją kaszkę owsianą, to już na najbliższe urodziny będę miał sześć.

Wpadł

— Więc w jakiż sposób mogę panu przyjść z pomocą? Czy mam ofiarować panu wsparcie w gotówce, czy też w narzędziach, do dalszego prowadzenia fachu?

— Jeżeli pan dobrodziej taki łaskaw wolałbym już to drugie.

— Więc czemże się pan dotąd zajmował?

— Byłem właścicielem murowanego domu.

Na licytacji

Podczas licytacji ginie jednemu z obecnych portfel. Poszkodowany zwraca się do kierownika, który ogłasza co następuje:

— Zginął portfel z pewną gotówką. Właściciel daje sto złotych nagrody.

Głos z ostatnich szeregów:

— Ja sto jeden!

Zapłata

— Na zjeździe dziennikarzy niemieckich spotkało się dwóch kolegów.

— Ja — powiada jeden z dziennikarzy — redaguję kronikę wypadków i otrzymuję po 20 groszy od wiersza.

— A ja — odzywa się drugi — piszę artykuły polityczne i dostaję po trzy miesiące więzienia za szpaltę!

Znak czasu

Kowalski zgubił portfel ze stu złotemi. Znalazł go Malinowski i pisze do Kowalskiego:

„Znalazłem pański portfel. W załączeniu przesyłam panu czterdzieści złotych i uprzejmie pana proszę o pozwolenie mi spłacenia pozostałej sumy w ratach miesięcznych.“

Ocena obrazu

Artysta-malarz Bazgralski: — Ten obraz chcę przeznaczyć na cel dobroczynny.

Znajomy: — Niech pan go ofiaruje zakładowi dla ociemniałych!

Chybił!

Moryc Kohn służy w wojsku. Jest ostre strzelanie. Kohn strzelił 23 razy i dwadzieścia trzy razy chybił.

— Słuchajcie Kohn — mówi mu sierżant — moglibyście zrobić dobry uczynek: strzelcie sobie w łeb!

— Rozkaz panie sierżancie!

W tył zwrot! Kohn znika za murem. Po chwili słychać strzał.

— Co ten idjota zrobił! — woła sierżant i biegnie na pomoc.

Ale Kohn wychodzi z za muru zdrów i cały i melduje:

— Panie sierżancie, znów chybiło.

W szkole

Nauczycielka: Tak, moje dzieci, noc na biegunie północnym trwa pół roku.

Edzio (ze współczuciem): Ach, jak mi żal tamtejszego stróża nocnego.

Pracowity

— Proszę o małą jałmużnę jaśnie wielmożny panie, jestem od roku bezrobotny.

— A czem pan jest z zawodu?

— Robię papierosy.

— To się dobrze składa. Dostałem właśnie większą partję tytoniu. Niech mi pan zrobi papierosy.

— Kiedy ja, proszę dziedzica, robię papierosy tylko na własny użytek.

Spłacanie długów

Do sklepu pana Walentego Osipko przychodzi 7-letni synek jego klienta, Feluś.

— Dzieńdobry panu, panie Osipko. Tatuś kazał się panu kłaniać i powiedzieć, że chciałby zapłacić rachunek...

— To bardzo ładnie, wyjątkowo ładnie ze strony twego ojca. Masz tu, pędraku, piernika.

— Tak — kończy chłopiec — ale nie może, bo niema pieniędzy.

Bóg podziemi

Rzecz dzieje się na lekcji mitologji w amerykańskiej szkole. Pada pytanie:

— Jak się nazywa bóg podziemi?

Na to cała klasa chórem:

— Al Capone!

Metamorfoza

— Jak pańska córka mogła wyjść zamąż za takiego niezdecydowanego i lękliwego mężczyznę?

— On wcale jeszcze takim nie był, kiedy się z nią ożenił.

Burza

Gospodyni: — Czy pan profesor słyszał dzisiejszej nocy tę straszliwą burzę?

Profesor: — A dlaczego mnie pani nie obudziła? Przecież pani wie, że podczas burzy nie mogę spać!

Oświadczyny

— Ja panią ubóstwiam i chcę wszystkie troski przejąć na siebie.

— Ależ ja niemam żadnych trosk.

— To już ja się o nie postaram!

Muzykalna

Właściciel domu: Przy wynajmowaniu mieszkania wyraźnie powiedziałem panu, że nie znoszę muzyki w swoim domu, a tymczasem żona pana niemal całemi dniami grywa na fortepianie.

Lokator: I to pan nazywa muzyką?

Niefortunny wędkarz i sprytny szczupak...



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. - Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI“ — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie